LIBRARY OF CONGRESS
00003723707

THE LIBRARY OF CONGRESS
1800

Kraszewski Józef Ignacy.
15 2

WĘDRÓWKI

LITERACKIE.

FANTASTYCZNE I HISTORYCZNE.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

W WILNIE.

W DRUKARNI S. BLUMOWICZA.

w Domu JO. Xięcia Ogińskiego.

1839.

PG7158
.K75W4

Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożona była w Komitecie Cenzury liczba exemplarzy Ustawą przepisana. Wilno 1837 d. 31 paźdz.

Cenzor, *Leon Borowski.*

I.

WYJAZD W DROGĘ.

To horse, to horse — he quits, for ever quits
A scene of peace — — —
Ch. Harold Pil. C. 1. s. XXVIII.

Któż z was nie uczuł kiedy ciężkiéj ręki losu? Kto z was nie tęsknił za pokojem nieprzerywanym trudnemi wypadkami życia, suchemi jego szczegółami, nudnym egoizmem ludzi, a nudniéjszém często jeszcze ich przywiązaniem?

Kto z was nie zarumienił się schodząc raptownie z poetycznych marzeń, do zimnych drobnostek przypominających nam smutną niewolę duszy nieśmiertelnéj, w glinianém naczyniu naszém zamkniętéj?

Kto z was nie pomyślał w jednéj z wycieczek nad ziemią, że lepiéjby w tamtéj krainie, dumań i myśli pozostać?

Kto z was raniony w serce, z tęsknotą w duszy, łzą w oku, westchnieniem w piersiach, uniesiony na chwilę w obłoki wspomnienia, nie przeniósł przeszłości nad terazniejszość, wspomnień nad uczucia?

O! przyjaciele moi, *pariom* towarzystwa wygnanym zewsząd, niéma jak ten świat cichy którego wrota dla wszystkich stoją otworem.

Idźmy tam i zapomnijmy o troskach naszych, żyjmy przeszłością, dumaniem, marzeniem, pokarmami dusz smutnych, których nie nasycą obiady i bale, tańce i uściski, rozmowy wlokące się jak czarny dym po ziemi. — Kochania motylowe, gniewy półwieczne i wszystko to czém się karmią ludzie, którzy na celu drogi swojej widzą tę samą kałużę, z któréj wyszli.

Włożmy na plecy lekkie tłomoczki wędrowników, a w nich wspomnienia nasze drogie i oczyszczone łzami pamiątki, weźmy kij w ręce, pożegnajmy nasze gniazda i daléj w drogę! Troski zostawmy na progu i bieżmy prędko — może nas nie dogonią!!

II.

ROMAS W UTRECHCIE.

ANNA MARIA A SCHURMAN.

(*Schuurmann Schurmans.*)

1607. 1678.

BIOGRAFJA.

Fama di loro il mondo esser non lassa,
Non ragioniam di lor, ma guarda e passa!

. . . . . .

1.

Gdybyśmy się chcieli przekonać, o ile użyteczniéjsze są pojedyńcze biografje od historycznych wielkich obrazów, pod względem moralnego ukształcenia, możebyśmy w spisie nauk umieścili kiedy oddzielną biograficzną gałęź historij, a ta zastanawiając się nad życiem różnych osób, wskazując sposoby jakiemi doszły swego celu, znaki jakiemi w nich odkrywały się zdolności i powołania, posłużyłaby za praktyczną naukę życia. Biografie

każdego stanu sławniéjszych indywiduuw, zostałyby osobno podzielone i stosownie dawane tym, do których się odnoszą. Korzyści moralne mogące z tego wyniknąć, są zdaje mi się, tak oczéwiste, że ich nawet wypisywać niepotrzeba.

Do tego kursu, możnaby potém dodać jeszcze, część jedną, dla saméj tylko ciekawości — *Fenomenografią*, opis życia osób które nic wielkiego nie zrobiwszy, są jednak sławne, które się unieśmiertelniły jakąś osobliwością, dziwactwem.

Herostrat i cała jego z poźniéjszych wieków mnoga rodzina, ludzie którzy życie święcą dla czczéj nadziei wsławienia się, ci którzy je trwonią na nabycie błyskotnych tylko wiadomości, ażeby niémi zadziwić, ludzie którzy bezsilni do tworzenia, targają się na dzieła jenjuszu, ażeby je przynajmniéj wspomnieniem zniszczenia z sobą połączyć, ci wszyscy i wielu innych pomieściłoby się w tym rzędzie.

Lecz bjografje nie takby się pisać powinny jak się zwykle piszą, bo w dykcjonarzach najlepszych suche są tylko fakta, skrócone i często fałszywe, bo nie z piérwszych i autentycznych źródeł, lecz doryweczo zbierane na historycznych śmieciskach, więcéj dat niż

rzeczy, erudycij pochwytanéj niż rozumowania — w autobjografiach prawie zawsze *ja* tak jak wymalowane, wyzłocone, upstrzone i posadzone tak wysoko, że się zbytniém podniesieniem za małe wydaje, a nareście żeby sądzić o człowieku, oprócz niego i inszych jeszcze słuchać potrzeba. — W pochwalnych mowach zacząwszy od Fontenella są tylko pochwały, a jeśli czasem pseudokrytyka powolna i drżąca jak cień się wśliznie, jest tylko fanfaronadą bezstronności a częściéj zadośćuczynieniem opinij, która tego nieodzownie wymagała. — *Magazyny* umieszczają wprawdzie czasem bjografje nowo robione, rozumowane, ale te są zbyt krótkie, obcięte, zastosowane do miéjsca, robione na zakaz, i jak wszystko co się robi nie z powołania talentowego, ale z jakiegokolwiek bądź osobistego, bądź stronniczego widoku, niezasługujące na wiarę, bo bez przejęcia i entuzjazmu, choć czasem z talentem pisane.

Pismo najlepsze pod względem artystycznym, jak tylko nie jest natchnioném, cóż warto?

Spodziéwam się, że w życiu Panny Marij Schurman Flamandki, które wam zaraz opowiém, nie zechcecie widzieć dumnie narzuconéj formy do pisania biografij. — Teo-

rje już przeszły, a ja ich wskrzeszać nie myślę.

2

Anna Marja a Schurman urodziła się w Utrechcie (1) dnia 5 Listopada 1607 roku.

Dziecinne jéj usposobienia zapowiadały nadzwyczajną łatwość pojmowania, spamiętania i naśladowania. Około trzech lat mając zaczęła czytać, w szóstym roku wycinała bardzo zręcznie z papiéru rozmaite postacie bez wzoru, w siódmym mówiła trochę po łacinie, w ósmym rysowała kwiatki wcale nie źle jak na swój wiek, w dziesiątym naglona od matki nauczyła się haftować w przeciągu trzech godzin.

Ta cudowna łatwość do nauczenia się wszystkiego, była powodem, że z początku przeciwni męskiemu sposobieniu się do nauk rodzice, pomyśleli nareście, aby jéj dać stosowne do odkrywających się talentów wychowanie. — Łacińskiego języka początki od nauczyciela, który go braciom jéj wykładał nieznacznie nauczyła się; lecz matka zawsze

(1) *Descapm. Tom II. p. 118.* według innych w Kolonii r. 1606 — *Dict. Biograph. (1789. 8vo IX. Vol.) VIII. Vol. p. 575.*

jeszcze w głębi duszy zatrudnieniom płci jéj niewłaściwym, przeciwna, często zasadzała ją do igły. Tak biédną Marja siedząc nad nudną robotą, kręcąc nożyczki w ręku, wycinała z papieru figurki, których kształty coraz poprawniéjsze, przygotowywały ją do rysunku. — Nikt jéj nie uczył, nikt nie zachęcał, wszakże każdy kwiatek, zwierzę, drzewo, obudzały w niéj ten popęd naśladowniczy — brała się do rysunku i z podziwieniem ujrzano ją wkrótce malującą kwiaty, owady, ptaki, twarze, chociaż nie miała innego nauczyciela do tego, nad wrodzoną zdatność.

Powiadają że ktoś z młodego Picus Mirandoli żartował mówiąc, iż za młodu zadziwiające talenta, nic na przyszłość wielkiego nie rokują, a Picus odpowiedział mu dość trywialnym konceptem — Musiałeś być bardzo dowcipny za młodu! Lecz z przeproszeniem jego, zdanie to, iż odznaczające się zdatności w młodym wieku, nie wiele rokują — jest prawdziwe.

Zwykle bowiem w dzieciństwie i przyspieszonéj młodości odkrywają się tylko talenta mechaniczne, naśladownicze, zdolności do nauk więcéj pamięci niż jeniuszu wymagających, wielkie jeniusze (świadkiem Newton)

pożno i trudno wzbijają się lecz trwaléj. — Picus Mirandola, Hugo Grotius cóż zrobili obiecując w młodości tak wiele? — byli tylko fenomenem, *monstrum sine vitio*, jeśli się podoba.

Krzyczano na cuda z początku, lecz gdy nadal większych się cudów potrzeba było spodziéwać — zostało tylko to, co było.

Marja powołana w dzieciństwie zapałem do sztuk pięknych, oddała się im i naukom. Ojciec przekonany o potrzebie dania jéj stosownego wychowania, sam ją doskonalić zaczął w łacińskim języku, metodą praktyczną, zaczynając od tłómaczeń Seneki. Dla czego od tego autora, nie od innego, powiedzieć nie umiem, nie widać bowiem w dziełach jego, ani czystego i łatwego porządkowania myśli, ani ściśle zachowanych form językowych, któreby ten wybór usprawiedliwiały.

Mając lat dziesięć Anna Marja przetłómaczyła na język francuzki i flamandzki, kilka traktatów Seneki.

Lecz niedość na tém, wkrótce zaczęła się uczyć po grecku, i jak wszystko tak i to poszło jéj z wielką łatwością.

Po śmierci ojca mogła już zupełnie oddać się swoim ulubionym pracom — jéj dom stał

się miéjscem schadzki uczonych i artystów, imie zaczęło być znajome i najznakomitsi literaci pisywać do niéj zaczęli, aby ją wyciągnąć na odpowiedź.

W Lejdzie professorowie Uniwersytetu osobną dla niéj ławkę w salach prelekcij i miejscach gdzie *tezes* broniono stawić kazali, aby mogła być przytomną, nie mięszając się z tłumem, pomysł arystokratyczny, który pokazuje, że się nigdzie bez aristokracij nie obéjdzie.

Zapalona pochwałami i wziętością swoją, które jéj zdolności prędzéj jeszcze rozwinęły, zaczęła się doskonalić w łacińskim i greckim języku, a nakoniec sławny filolog Vossius lekcije hebrajskiego dawać jéj zaczął. Wkrótce wyuczyła się tak, że pisać mogła po hebrajsku, *syryjsku*, *chaldejsku*, po grecku, po łacinie, po hiszpańsku, po włosku i po niemiecku, mówiła i pisała z łatwością po francuzku, rozumiała po angielsku.

Jest jednak ze strony bjografów amplifikacja co do języków syryjskiego i chaldejskiego, których umiejętność dobrodusznie jéj przyznają. Któż bowiem nie wie, że te dwa djalekta utonęły oddawna w języku hebrajskim i są oddawna bez życia, zapomniane, niepodobne do nauczenia, nazbyt ubogie,

nawet na siedmnastego wieku potrzeby umysłowe, i tak prawie jak nieekzystujące, bo tylko cząstkowo o tyle, o ile do składu języka hebrajskiego wpływały znajome. Marja Schurman prócz wymienionych języków, cytowała wprawdzie jeszcze arabskie zdania alkoranu (w liście o przeznaczeniu) — ale któż nie wié, jak cytacje są słabym dowodem umiejętności języków.

Oprócz umiejętności języków, Anna Marja wprawiła się, zapewnie słuchaniem tezes w Lejdzie, do scholastycznéj polemiki, wówczas bardzo w modzie będącéj, bez któréj form sakramentalnych, nic się filozoficznouczonego nie pisało. Jéj też pisma są tylko odbiciem innych tamtego wieku i kraju, w których taż sama czczość myśli jak w innych, ten sam jak w innych nawał erudycij, cytacij i pedanterij widzieć się daje.

Rozmaite sposoby rysowania i malarstwo były także jéj ulubioną zabawą — dosyć biegle wycinała portrety na szkle djamentem, robiła minjatury, historyczne obrazki olejno i sztychy *au burin* i *a l'eau forte* (rylcem i serwaserem). Rzeźbiarstwo, a raczéj płaskorzeźba, nie była jéj obcą, najwięcéj portretów wycinała z drzewa lub słoniowéj kości; znała prócz tego muzykę, grała na lutni i klawicymbale.

Portrety jéj matki, braci dwóch i jéj własny, zrobione z drzewa palmowego, były tak wyborne na swój wiek i zapewne pod względem, kto je robił, że malarz Honthorft, cenił jeden tylko jéj portret, tysiąc złotych holenderskich.

Oto jest poprzedniczy rys krótki posiadanych przez nią nauk i talentów, to jest tych z których każdego po troszę liznęła — w wieku który nowych pomysłów nie wymagał, i żył (pod opieką reguł i form ułatwiających tworzenie artystyczne) kompilacjami, Marja mogła uchodzić za wielką, i taką ją współcześni ogłosili.

3.

Jakiego rodzaju był talent i zdolności Anny Marij Schurman? — Jest to pytanie na które odpowiedź pisma jéj dadzą. — Z owoców ich, poznacie ich, powiada Pismo święte. Marja przy talencie obserwacij, miała łatwość naśladowania, pamięć wielką, zręczność w przywłaszczeniu sobie cudzych myśli, pod inną tylko formą, wszystko to do pewnego tylko stopnia.

Albowiem ktokolwiek zdolności swoje, zamiast zgromadzenia w jedno ognisko, zastosowania do jednego celu, rozprasza po wielu

przedmiotach, ten w żadnym nawet chwilowéj doskonałości nie dojdzie.

Człowiek jako stworzenie jedną mające duszę, nie może, ani dobrze dwóch rzéczy razem robić, ani o dwóch myśleć razem, ani w dwóch się razem doskonalić.

Jeden przedmiot jakikolwiek raz obrany, jest więcej niż wystarczającym na życie człowieka. Skierowanie wszystkich zdolności na jeden przedmiot jest jak skupienie promieni słońca w źwierciedle Archimedesa, rozproszone grzeją tylko, zjednoczone palą.

Człowiek rozdrabiający się na różnostronne prace dokładnego nawet o niczém wyobrażenia nie powezmie. Polihistorja jest marzeniem, a wszystkie biblioteki chodzące fanfaronadą podobną do encyklopedij popularnych, w których są tytuły wszystkiego, a pod tytułami — nic.

Anna Marja nie miała najmniéjszéj cząstki tego jenjuszu twórczego, który uwielbiamy w prawdziwie wielkich ludziach pierwszego rzędu, jeniuszu który w istocie, zawisł tylko na zupełnie nowéj kombinacij materjałów umysłowych, lub nadaniu nowych form starym już wynalazkom — talenta Anny Marij ograniczały się dość umiejętnem, ale tylko naśladownictwem.

Rysunki jéj, były po większéj części portretami nie obrazami w których twórczości i układu potrzeba, kwiaty, owady, peizaże, przedmioty więcéj mechanicznéj wprawy niż smaku i wynalezienia wymagające, były jéj najpospolitsze.

Toż samo w pismach, myśli bardzo mało, suche frazesy łacińskie, foremne, znajome, bo urywkami czytane tysiąc kroć we wszystkich tego wieku jednosłowych pisarzach— a dużo erudycij oto ich treść cała. W poezijach ta sama normalność, ta sama oziębła regularność, brak imaginacij i wynalazku, dowcipowanie francuzkie, sofistyczność ostatnich czasów łacińskich.

Nic pewnego, stanowczego, uderzającego, żadnych pomysłów świéżych, żadnych wniosków nieoczekiwanych nie znajdziesz w jéj dziełach — wszystko jest skutkiem tego rozproszenia umysłowego, za którym poszło osłabienie.

Annę Marję każdy malarz przewyższyłby nawet w mechanicznéj części swojéj sztuki, każdy snycerz w snycerstwie, każdy erudyt w erudycij, każdy poeta zapałem — cała wartość jéj że była razem malarzem, snycerzem, erudytem i poetą. Ale cóż kiedy w żadnéj z tych gałęzi nie znać śladu jéj

życia i przejścia — malowania nie należą do żadnéj szkoły, snycerszczyzny wspominać nie warto, erudycja odgrzewana, poezja sucha i blada. Słowem jednem było to wielkie — bardzo wielkie — nic. —

4.

Imie jéj dziś jest już prawie tak jak nieznajome, lecz wiek w którym żyła okrzyczał ją za dziesiątą Muzę, za Safo Hollandij, za ósmy cud świata, najuczensi szczycili się jéj listami, a Fryderyk Spanhejm był jéj pism wydawcą (1).

---

(1) Fryderyk Spanheim autor mnóstwa dzieł teologij polemicznéj urodzony w Amberg — Profes. Uniw. w Lejdzie. Tytuł téj edycij jest następny: *Nobilissimae virginis Annae Mariae a Schurman opuscula Hebraea, Graeca, Latina, Gallica, prosaica et metrica. Ed. 2da auctior et emendatior. Lugd. Batav. Ex officin. Elzeviv. CIↃIↃCL (1650) 8vo min. 376 p.* z portretem jéj przez nią samą robionym i dystychem

Cernitis hic picta nostros in imagine vultus,
Si negat ars formam, gratia vestra dabit —

i napisem *Anna Maria a Schurman an. aet. 33. 1640.* Inne edycje pism jéj wymienim następnie — Co się tycze Spanheima, tego najwypracowańsze dzieło pod względem historycznym jest Rosprawa (po łacinie) o Paszessie Joannie, tłumaczona na niemiecki i francuski język, ważna dla cytacij mnóstwa nieznanych rękopismów — a dla nas zajmującą wymienieniem kopij rękopismu Marcina Polaka, które przytoczym na inném miejscu.

W przedmowie piszę, iż na nią wysiliła się natura tak, jak tylko na kobiétę wysilić się mogła; chwali także — „*pietatem sine schemate*, *modestiam sine exemplo et miram morum vitaeque sanctitatem*“ — i dodaje: „*Et quamvis maxime laudari mereatur nihil minus tamen, quam laudari cupit. Quod ipsum etiam supra laudem est.*“

Nie zapomina także oznajmić, że edycja ta pism jéj, mimo jéj woli się robi, chociaż listy jéj saméj zawarte w niéj dowodzą, że wiedziała o tém i wcale się nie opiérała.

Osoby z któremi miała związki były — Anna Marja Królowa Węgierska i Ludwika jej córka, Elżbieta Księżna Palatyńska, Marja Ludwika Gonzague Królowa Polska żona Władysława IV, Anna Księżna de Rohan.

Uczeni zaś, — *Joh. Beverovicius Senator Archiatrus Dodrechtanus*, któremu przypisany list *de Vitae Termino*, w istocie o przeznaczeniu — przedmiot zuchwale obrany, bo o nim w tymże czasie bardzo wielu uczonych pseudo-filozofów pisało.

D. Adreas Rivetus Theolog, któremu przypisane *Problema practicum — Num faeminae christianae convenit studium litterarum?*

Jan Smith, *Jakób Lydius*, *Jan Cloppen-*

burch, *Fryderyk Spanheim*, *Claudius Salmasius*. — *Meletius* Arcybiskup Efeski, do którego pisała po grecku, *Jakób Catzius*, *Adolf Vorstius*, *Konstanty Huygens*, *Wilhelm Staeckmann*, *Jan de Laet*, *Pani Moor* (do której pisała po łacinie) *Piotr Gassendi*, *Simonds d'Ewes*, *Lambert Goris*, *Lieffrid Osterwick*, *Jakób Crucius*, *Du Moulin* (francuz, ksiądz).

Wyliczemy jeszcze tych, którzy ją w pismach swoich chwalili, aby tego długiego spisu dopełnić, który da wyobrażenie, jakiej była ceny w swoim wieku, ta Muza Belgijska.

Daniel Heinsius, *Georgius Staackmans*, *Jan Beverovicius*, *Smith* który ją z trzema Annami porównywa, Anna, *Susia*, *Vestalis*, *Palanda i Vtenhovia*; *Isaac Gruter*, *Balzac* sławny listopisarz, który prosi aby jej w tym rodzaju pisania przyznane było pierwszeństwo nad nim, rzecz dziwna na francuza i na tak próżnego człowieka.

Ludwik Jacobi od S. Karola Kabiloneński Karmelita, w swojej Bibliotece kobiet sławnych, użalając się nad tém, że nie jest religij Katolickiej, głosi także jej pochwały, przyznaje jej umiejętność języków — Hebrajskiego, Chaldejskiego, Syryjskiego, Arabskiego,

Tureckiego, Greckiego, Łacińskiego, Francuzkiego, Angielskiego, Włoskiego, Hiszpańskiego, Niemieckiego, Flamandskiego i Hollenderskiego. Cytuje on pochwały *Gabriela Vaudeus* Mazaryńskiej Biblioteki bibliotekarza, *Salmasiusa* w przedmowie do praw Greckich i Rzymskich (*Jus atticum et Romanum*) *Jakóba Crucius* i *Jakóba Martin*, Paryżanina, który o niej Epigramma i pochwałę napisał.

Oprócz tych inni jeszcze pisarze z pochwałami o niej wspominają.

Jacobus Castius in poemate Belgico.

Zachutus Lusitanus, Medyk w swojej *Historia Medicorum.*

Valerius Andreas Desselius in Bibliotheca Belgica (1645—4.)

Dominik Gilbertus w panegiryku na cześć jej, przypisanym Gabrielowi Svaudeus.

Caspar Barlaeus w Epigrammatach.

Konstanty Huygens także.

Andrzéj Rivetus w listach do niej.

Adolph Vorstius także.

Andrzéj Polvius także.

Jakób Lydius w Merkurjuszu Batawskim (p. 507. 536).

Lazarus Meyssoner, *Medicus Lugdunensis* (*Epist. ad Beverov.*)

Daniel Heinsius w życiu Marij *de Romieu.*

Jacobi w traktacie o bibliotekach znaczniejszych świata (*Appendix p.* 29.)

Karol Duchesne. — Paweł Jakób Lugduńczyk w pochwale francuzkiej Anny Marij Schurman.

Hilarion de Coste Ordin. Minim. w przedmowie pochwały kobiet sławnych.

Franciszek Collotetus (syn Wilhelma) w Epigrammatach.

Wszystkich tych pochwał wypisywać w całości niepodobna; przytoczym tylko dwie, dla dania o nich ogólnego wyobrażenia. *Claudius Salmasius* tak pisze.

„Mamy w mieście o jeden dzień drogi ztąd oddaloném (w Utrechcie) panienkę slachetnego rodu, niemniej od Hippiana w wielu gałęziach sztuk biegłą, a tem bardziej godną podziwienia że w tej płci, rzadko się zdarza taka płodność umysłu, taka mnogość nauki i tyle cnot razem. Co tylko się umysłem wynaleść, a ręką da zrobić, ona umie.

„Maluje jak nikt lepiej, wyrzyna na miedzi, wyciska na wosku i na drzewie podobnież. — W frygijskich sztukach wszystkim kobietom właściwych, przesadza dawne i współżyjące kobiety. Co do nauk, tych ma

tyle i tak w nich jest doskonałą, że nie wiem w której celuje. Tyle umie języków, iż nie wystarczyło jej Europy i na wschód aż przeleciała nauką, porywając ztamtąd Hebrajski, Arabski i Syryjski języki aby je dołączyć do posiadanych. Po łacinie tak pisze, że nikt nie potrafi lepiéj nawet z tych co całe życie doskonaląc się w tym języku pracują. Nad francuzkie jéj listy, chyba Balzac lepsze napisać potrafi. Wielu językami Européjskiemi, tak mówi jakby jéj były rodzinne. — Z Izraelitami po hebrajsku, z Saracenami po arabsku może mieć korrespondencją — nawet nauki trudne i ostre dla nas filozofją scholastyczną i theologją, tak posiada że wszystkich zadziwia, bo to do cudu podobne, nikt się z nią o piérwszeństwo nie ubiega, bo nikt naśladować nie potrafi, nikt nie zazdrości, bo wyższą jest nad zazdrość.“

To jeden, teraz będzie nam mówił drugi — Jan *Laboureur* w opisie podróży Królowéj Polskiéj Marij Ludwiki Gonzagi żony Władysława IV (1) — który tak wspomina odwiedziny królowéj, Marij Schurman uczynione dnia 26 grudnia 1645.

---

(1) Paris. 1648. 8.

„Dnia następnego 26 Grudnia, Królowa Polska okazała jak dalece wysoką cenę przywiązuje do nauk. Zasłyszawszy o Annie Marij Schurman panience rodem z tego miasta (Utrechtu) i o piękności jéj zbiorów (Cabinet), zażądała ją odwiedzić, ale bez ceremonjału, dla uniknienia zgromadzeń tłumnych ludu, któryby szedł za nią. Zostawiła więc dwór swój i siadła *incognito* do karety Pani Marszałkowéj (de Guebriant), mając z sobą tylko Biskupa Oranii i cztéry czy pięć osób, z których jedną ja byłem. — Przejeżdżając widziała wielki kościół i wysiadła w domu téj dziesiątéj muzy, cudu swojego wieku i płci. Nie bez podziwienia oglądała doskonałe roboty, jéj rękami uczynione, w malownictwie, miniaturach, kolorowaniach, sztychach rylcem i djamentem na miedzi i szkle, które jéj zjednały sławę biegłéj w sztukach najznamienitszych między ręcznémi. Jednakże podziwienie to wzmogło się, gdy ją usłyszała mówiącą tylą językami i o tylu naukach. Odpowiadała Biskupowi Oranij po włosku, badającemu ją z roskazu królowéj i argumentowała bardzo zręcznie po łacinie o kilku punktach Theologij. Z równąż pewnością odpowiedziała w tymże języku na komplement, który jéj powiedziałem od P. Mar-

szałkowéj. — Mówiła po Grecku z P. Corrade piérwszym lekarzem królowéj, a byłaby do nas jeszcze i innemi mówiła językami, gdybyśmy je umieli, bo oprócz greckiego, łacińskiego, francuzkiego, włoskiego, hiszpańskiego, niemieckiego i flamandskiego który jest jéj rodzinnym, zna także wcale dobrze hebrajski, syryjski i chaldéjski, a do mówienia niémi, brak jéj tylko trochę wprawy. Również wiadome jest jéj położenie krajów, tak że mogłaby w nich podróżować bez przewodnika i tłómacza.

5.

Pisma jéj znaczniéjsze są — naprzód: *De Vitae humanae termino*, właściwie o przeznaczeniu, rosprawa w któréj żadnych nie ma nowych pomysłów i kilkadziesiąt tylko cytacij — myśli rozwleczone i pokryte warstwą scholastycznej łaciny. Wyszła *Lugd. Batav. ex Officina Joannis Maire.* 1639. 4to. *Studio Joannis Beverovicii, cum aliis celeberrimis Philosophis, ejusdem argumenti autoribus.*

Także po hollendersku. *Dordraci.* 1639. 4to.

Rosprawa o naukach jakie służyć mogą kobiétom, o zdatności kobiét do nich, potrzebie nabycia i t. d. (*Problema practicum*).

Lugd. Batav. ex Offic. Elzevir. 1641. 8. (112 p.) tłumaczone na francuzki przez Wilhelma Collotet Paryżanina.

Listy o tymże przedmiocie do Andrzeja Rivet Doktora Theologij (Ewanielika).— *Lugd. Batav. ex officina Elzevir.* 1641. 8vo. I to tłumaczył Collotet, przedrukowane poźniéj z poprzedzającą rosprawą w edycij *Lugd.* 1650. 12.

Inne jéj pisma są: Epigramma Łacińskie do Jana Isaaciusa Pontana, do Huygensa, do autora historij Utrechtu. — Wiersze dosyć wszystkie panegiryczne, nigdzie w nich nié ma czystego zapału, pisane z okoliczności, z okolicznościami zginęły. Lecz największą część jej dzieł składają listy do rozmaitych osób pisane, greckie, hebrajskie i dość wiele francuzkich, listy po większéj części krótkie, których całą zaletą jest pewna gładkość stylu, kryjąca pod sobą zupełną czczość myśli. Prócz tego napisała jeszcze *Euclerją*, mało znajome dzieło, w materij religijnéj, wykładające zasady sławnego *Labadie* i otoż jéj całe zasługi i prace.

Z portretów Anny Marij, które nam sama zostawiła, widać że nie była piękną, twarz miała okrągłą, nos duży, oczy wielkie, czoło szerokie, kwadratowe, wyniosłe, usta szerokie

lecz miłe. — Ile z rysunku poznać można, organa umiejętności języków, Theozofij i krytyki na czole są dosyć rozwinięte (1).

Takie jakeśmy opisali były zatrudnienia i prace Anny Marij w piérwszéj połowie jéj życia, to jest do roku 1650, a jaka odtąd zaszła w niéj odmiana, i ile poznanie jednego człowieka na całą resztę życia jéj wpłynęło, zaraz wam powiem.

6.

Anna Marja miała w roku 1650 lat 43, poświęcona naukom, zajęta sztukami, dom swój uczyniwszy akademją literatury i sztuk pięknych (2), a siebie ich wyznawcą i nauczycielem, rozdzieliwszy swój czas między obciążającą lecz łechcącą dumę, korrespondencją, czytanie i malarstwo; nabożna przytém i filozofka, nie znalazła w tym tłumie przesuwających się przed nią osób tego, którego jéj Bóg przeznaczył za towarzysza doli i życia. Jednych ona nie chciała, drudzy jéj nie chcieli — tak minęła młodość utopiona w atramencie nad cichym stolikiem pracy w Utrechcie.

(1) O położeniu tych organów patrz jakikolwiek wykład systematu Galla.

(2) *Descamp. loco citato.*

W czterdziestym roku ominęły ją już marzenia miłości, sława i pobożność owładły nią zupełnie. Lecz sława jéj odrazu doszła tak wysokiego stopnia, że już potém nie rosła, a pobożność nie zupełnie jeszcze zaspokajała jéj serce. Takie są skutki przeciwieństwa powszechnym prawom, nadanym dla ludzi. Marja niebędąc żoną i matką ale filozofką tylko, czuła taką czczość w koło siebie, że w czterdziestym roku chcąc się przywiązać do życia nowym węzłem, rzuciła się w ślady awanturnika, herezjarchy, człowieka którego imie zginęło dawno w śmiecisku plugawym podobnych jemu nazwisk.

W Utrechcie poznała ona Jana Labadie, naówczas sławnego już herezjarchę, którego zasady jednak mało miały wziętości, a on sam wygnaniec zewsząd, szukał już z słabą bardzo nadzieją, schronienia i podpory.

Labadie wiedział że sława Anny Marij mogła mu cudownie dopomódz do rozszerzenia jego herezij, starał się ją poznać, musiał jéj pochlebiać i przeciągnął łatwo na swoją stronę. Marja stała się odtąd silną stronniczką dogmatów Labadie i jego dozgonną przyjaciółką i towarzyszką.

Ten ostatni wypadek, jest jeszcze jednym dowodem słabości jéj charakteru i głowy,

kobiéta rozumna dałażby się uwieść tak bezsensownym jak Labadiego prawidłom pokaleczonéj wiary?

Labadie starszy trzy lata od niéj był synem żołnierza z Cytadelly Bourg en Guienne, od piętnastego roku życia przyjął sukienkę u Jezuitów w Bordeaux, i tam nie wiem czy przybyły z zarodami zepsucia, czy nabywszy ich, tak dobrze umiał jednak omamić wszystkich, że gdy potém zażądał wyjść z zakonu, puścić go niechciano. Wyrwał się jednak odurzony myślą utworzenia nowéj jakiéjś sekty chrześciańskiéj, i zaczął od życia na pustyni wzorem S. Jana Chrzciciela, karmiąc się korzonkami, roślinami i przepowiadając w błędnéj swojéj pustelniczéj wędrówce po Guienne.

Tak ostre życie zyskało mu wziętość i jako duchowny użyty został w diecezij Amiens, gdzie za świętego nawet uchodził, ale niedługo, gorszące zwiąski, które się odkryły, pokazały że był tylko zręcznym hipokrytą, Biskup Amieński, kazał go szukać i uwięzić, ale Labadie ze zwykłą sobie zręcznością wymknął się. Potém przebywał czas jakiś w Bazas i w Tuluzie, uczyniony nadzorcą klasztoru zakonnic, wprowadził tam zasady Quietizmu. — Arcybiskup Tuluzy skasował

klasztor, kazano go ścigać, umknął znowu.

Ukryty w klasztorze Karmelitów niedaleko Bazas, nazwał się Janem od J. Chrystusa, czynił proroctwa i obłąkał wielu swemi zasadami które powierzchownie zgodne z katolicyzmem, miały za cel wprowadzenie, tego apatycznego quietizmu Molinosa, który niszczył najpiękniéjsze i najzasadniéjsze przepisy chrześciańskie. Według niego, wszystkie zbrodnie dały się wymówić intencją, obrzędy i najistotniéjsze nawet punkta wiary wszystko przetworzone i spotwarzone zostało. Exaltowana kontemplacja i ekstatyczne połączenie się duszą z Bogiem było najwyższym stanem łaski i szczytem doskonałości, a w istocie pokrywką i wymówką wszystkich innych występków.

Z klasztoru Karmelitów uciekł znowu ścigany Labadie do Montauban, ale tam porzuciwszy już nawet pozór katolicyzmu, przeszedł na Ewanielika i był pastorem lat osiém.

Nie byłby się tak długo i w Montauban ostał, gdyby wielkie mnóstwo kobiét, które uwiódł pozorami religijnego zapału, strony jego nie trzymały. Skończyło się jednak że i ztąd wygnany został i schronił się do Middelburga.

W tym czasie nastąpiło poznanie się jego

z Anną Marją, którą pochlebstwem na swoję stronę przeciągnął, aby użyć jéj sławy i wzięłości u możnych, dla podtrzymania upadającéj sekty.

Dopiął tego celu, a Anna Marja z całym zapałem dziewiczym, tym większym, im dłużéj zapomnianym w sercu, rzuciła się ku niemu — Przywiązanie jéj stało się nagle silne, nieprzełamane i wyłączne. Malowidła, rzeźby, książki i nauki, wszystko w kąt poszło, dom jéj stał się propagandą kwietyzmu i gniazdem teologicznych dysput.

Gdzie się ruszył Labadie, ona szła za nim, rzuciwszy wszystko dla niego — Osobliwszy fenomen w kobiécie oddanéj z dzieciństwa naukom, którą jeden awanturnik uwodzi i prowadzi za sobą przewagą charakteru i energją męzką, fascynacją któréj władzy prędzéj poźniéj poddaje się najupartsza kobiéta. — Powtarzam jest to dowod, że Anna Marja nie miała ani kropli jeniuszu, bo jeniusz ciągnie za sobą, ale za nikim nie idzie.

Marja złączona ścisłą przyjaźnią z księżną Palatyńską Elżbietą, przyjaźnią ugruntowaną na wspólném zamiłowaniu nauk, pociągnęła i ją za sobą. Ten wypadek powiększył małą już liczbę uczniów Labadie, ale prędko odkrycie niektórych przeszłego jego życia wy-

padków i nowszych występnych i świętokradzkich związków, odbiło znowu od niego wszystkich.

Wszystkich — ale nie Marją — ona opuszczonemu towarzyszyła wszędzie, bo jéj serce raz ale na zawsze przywiązało się do niego.

Z nim uciekła do Erfurtu, ztąd wygnani wojną, uszli znowu do Alteny w Holstein.

A było to już w roku 1674 w lat dwadzieścia cztéry po poznaniu się Marij z Labadiem, Marij która przez ten ciąg czasu wierna swoim postanowieniom, nie dała się odwieść od niego, ani długą liczbą lat, która często i stalsze targa więzy, ani oczywistemi Labadiego występkami, któreby mniéj poświęconą i przywiązaną kobiétę, dawno odstręczyły. Charakter jego żaden, zasady fałszywe, życie błędne, ciągłych wygnań, głodu i męczarni umysłowych i cielesnych, nic nie zraziło Marij — to postępowanie nie jest może takiém, jakieby rozum pochwalił, ale serce przyznać musi, że w niém była stałość uwielbienia godna i lepszego celu.

Jan Labadie skonał na jéj ręku w Altonie roku 1674.

7.

Odtąd smutniéjsze jeszcze były, cztéry ostatnie lata jéj życia. — Sława jéj zgasła przed nowo wschodzącemi światłami, umarł ten, któremu ją poświęciła, zapoźne stały się nadzieje nowego wsławienia się sześćdziesiątletniéj kobiécie; zwiąski czas potargał, uczonych przyjaciół rozsypało przeznaczenie daleko po świecie, była tylko niedogasła iskra w młodości nabytéj sławy, błyszczącego początku życia, ale i ta gasła powoli, inne przedmioty zajęły uczonych i możnych nikt nie znał, wszyscy już zapomnieli o Marij.

Po śmierci Labadie usunęła się do Wieward w Fryzij, zajmując się bez przerwy dalszym rozwijaniem zasad Labadie aż do śmierci. Theologja wygnała wszystkie dawne zatrudnienia i temi to czasy wyjść musiała *Eucleria*, pismo jéj popierające jeszcze zasady zmarłego przyjaciela.

Że jednak ten popęd do theozofij, był w niéj od początku wrodzony, pokazuje się to z wielu miéjsc pism przed poznaniem Labadiego wydanych i zgodła które sobie obrała:

Ὁ ἐμὸς ἔρως ἐσταυρως (1)

(1) Kochanie moje ukrzyżowane (jest).

List jéj do Beverovicíusa *de Vitae Termino*, wiele ma cytacij z Pisma S. i chociaż niepotrzobnemi zdaniami Platona, Seneki, Pindara, Cicerona jest najeżony, właściwie jednak bardziéj się zwać powinien theologicznym niż czysto filozoficznym.

Ta sama dążność spostrzegać się daje w rosprawie o nauce kobiét — na dnie pism jéj przebija się zawsze theologja — równie i w listach przed poznaniem Labadie pisanych do Ojca Rivet, do Pani Moor, do Doktora Theologij du Moulin, do Anny de Merveill, do Panny de Gournay i t. d. i t. d.

Ten pociąg theozoficzny, bardzo naturalny w kobiécie, byłby przymiotem i ozdobą jéj charakteru, gdyby ją nie był wciągnął na nieszczęście w błędy bézrozumnej herezij i poszukiwań czczych, w których zgubiła pokój duszy, a niezyskała w zamian nawet tej sławy, której tak pragnęła.

Cztery ostatnie lata jej życia, były ciągłą ekstazą i nabożnem rozmyślaniem, które jej przecie nowego rodzaju wziętość zjednało, nadając pewien świętości charakter — Umarła jak żyła — sama, bez rodziny której sobie zrobić nie chciała czy nie umiała, zaniedbując najistotniejszych obowiązków kobiety i człowieka. Umarła, jedni piszą, w Altonie,

drudzy, w Wieward roku 1678, maiąc lat siedmdziesiąt jeden.

8.

(1) Ażeby mieć wyobrażenie jej sposobu pisania, trzeba przedewszystkiem czytać jej listy — malują one najlepiej jej talent zasadzający się na wielkiej znajomości frazeologij, myśli są słabe i nigdzie nie wychodzą z pospolitych form wieku i źródeł ogólnych. Wyobrażenia o naukach i sposobie wykładania ich są bardzo słabe, użyteczność ich nawet i źródła niewyszczególnione jakby się spodziewać można, znajdujemy w liście z Utrechtu dnia 7 Września do Księżny Węgierskiej pisanym. Wszędzie znać brak gruntowności, który się łatwo pojmuje ze względu na ilość przedmiotów. Pisma jej są teraz tylko ciekawością bibliograficzną po bibliotekach, ale dawno nikt ich otworzyć nie śmie — życie jej jak kropla rosy w suchą ziemię, wsiąkło w przeszłość zupełnie i cóż z niego zostało? garść popiołu i wspomnienie w dykcjonarzu bjograficznym!

---

(1) Ze wszelką skrupulatnością nie mogę pominąć choć w nocie, że lubiła jeść pająki.

Gdyby była żoną, matką, możebyśmy dziś nie wiedzieli jej imienia, ale to życie milszemby było Bogu i pożyteczniejsze ludziom.

Horodec. 15 Kwiet. 1835 r.

III.

KSIĄDZ BAKA S. J.

— I stood
Among them, but not of them, in a shroud
Of thougts which were not theirs thougts.
Byron. Child. Harold. C. III.

Obcy im wszystkim stałem między niémi
Myśli moje nie były myślami téj ziemi.....

Śmiéjcie się sobie ze mnie, a ja wam powiem, że Ks. Baka jest jednym z ludzi, których nieumiano ocenić. — Nasz wiek szyderski widział w nim tylko kolące w oczy formy, nie poznał się na myślach dla tego, że je śmieszny strój okrywał i zrobił z narodowego naszego Younga, pełnego fantazij i humoru, straszydło na kleciwierszów.

Każdy z czytelników nieszczęśliwego poety, nim myśl jego pojął, rozśmiał się z wierszy, nikt nie chciał zastanowić się serio nad duchem jego poezij, tak jak one serio były pisane. — Powtarzam śmiejcie się sobie ze mnie,

jest myśl poetyczna wielka *w Uwagach o śmierci niechybnéj*, ta sama myśl którą Young płaczliwie rozprowadził w bladych swoich dumaniach, ta sama, którą poetyczni malarze odmalowali w *Tańcu Smierci* na ścianach grobowych sklepów w jednym z kościołów w Dublinie i Paryżu. — Pod względem mechanicznego składania wiérszy, Ks. Baka bez wątpienia jest bardzo nieszczęśliwy, ta to niezgrabność zgubiła go i pokryła sobą obrazy pełne fantazij i życia, któremi błyszczą wszystkie jego poezje.

Gdyby w innym żył wieku Ks. Baka, byłby z lepszym ukształceniem smakowniéj te *Uwagi* ułożył, byłby jednym z najżywszych i najśmielszych poetów.

Dość jest czytać jego współczesnych wierszarzy, żeby się o tém przekonać, blade naśladowania tylko i tłómaczenia otaczają nas w końcu XVIII wieku, jeden Ksiądz Baka pośmiewisko wszystkich, jest istotnie oryginalnym, wszystko co napisał jest jego własne, formą i myślą. — Obor przedmiotu i sposób traktowania go, uważane razem, okazują w nim obojętnego na krytykę, potężnie władnącego swoją myślą poetę, który przejęty swoim przedmiotem, wie że nie ma wyrażenia, któreby go śmiesznym mogło

uczynić, bo mówi o rzeczy najsmutniéjszéj ze wszystkich, któréj samo wspomnienie, chociażby w arlekinskie przystrojone szaty głęboko w sercu bolesne uczucia zasiewa.

Jest to obojętność człowieka który płacze gorzko idąc za pogrzebem, chociaż nie włożył żałoby.

Trzeba być wielkiém dzieckiem, żeby czytając *Uwagi* Ks. Baki zacząwszy od śmiechu, na nim skończyć; żeby nie uczuć choć słabego odbicia na sercu wielkiéj myśli o śmierci. Jest jeszcze jeden rodzaj uczucia, który się rodzić powinien z czytania tych poezij — pogarda świata i życia. — Wymówni a drżący w duchu lirycy, wielkiemi i szumnemi wyrazami chcąc nas do tego zachęcić, wzbudzają tylko jakąś czczą niespokojność, Ks. Baka uszczypliwie, szydersko maluje nam nędzę tego świata i śmieje się ze strachu śmierci, bo widzi, czuje — nieśmiertelność za życiem.

Do okrycia śmiechem Ks. Baki, przyłożyli się nowsi dwaj autorowie przedmowy i dedykacij, ci śmieszność tylko mając na myśli, dopięli bardzo dobrze celu rzucenia na całe dziełko śmieszności i skrzywienia jego naturalnéj fizjonomij, lecz godziłoż się patrząc tylko na formy wyśmiać tego, który tak

zuchwale i mężnie sam się na śmiech nie lękając go narażał?

Uważany jako humorysta Ks. Baka jest piérwszym co do czasu; żart wprowadzony niekiedy pod tak poważną i od wieków z pompatycznemi tylko wykrzyknikami dostępowaną myśl, jest energiczną i silną pogardą jeniuszu, dla niewolniczych form krępujących wolny bieg fantazij (1). — Jeśli się nie mylę, głęboko utajona myśl, uczynienia książki popularniéjszą, wpływała może na sposób obrobienia przedmiotu, zastanowienie się nad potrzebami umysłów, którym innego rodzaju pokarm byłby za ciężki, uczyniło te uwagi śmiesznemi dzisiaj dla nas. Lecz nie jestże odwieczną prawdą, że chcąc być sprawiedliwym sędzią, trzeba się stawić w wieku pisarza i okolicznościach?

Przelećmy całe to pismo bezstronnym okiem —

Do czytelnika wiersz jest wyjątkiem z całego dziełka, ton w nim panujący poważny, jest odbiciem innych poezij podobnych; i tu jeszcze nie znać oryginalności Ks. Baki —

---

(1) O fantazij i humorze czytaj. *Vorschule der Aesthetik von Jean. Paul. 1. Band.* (*Zweite Aufl. Wien. 1815.*) — *p. 26.* Phantasie *p. 141.* humor (humour *laune*).

Smiertelność wszystkich ludzi wszędzie, treść niby i założenie kryje się pod temi kilkudziesiąt wierszami, które się wspaniałym zaczynają wykrzyknikiem

Panuj świecie!

Potém jeszcze ogólna następuje uwaga dla wszystkich stanów, powtórne rozwinienie myśli tą samą już formą, którą ma być traktowana.

Następujący *wiersz do starych* jest pełnym fantazij obrazem. — Widzimy tego staruszka w izbie szczylno zamkniętéj, przy nim stoją flaszeczki z lekarstwami, na kominku błyszczy ogień, przy ogniu piwo się grzeje, koło ławki kij stoi, milczący towarzysz każdego kroku starca, który drży słysząc dzwony pogrzebowe i śpiew konduktu wlokącego się pod oknem. A z za drzwi wyglądają kiedy niekiedy twarze zimne, szyderskie sukcessorów których Ks. Baka tak dobrze maluje:

Raz zapłaczą,
Stokroć skaczą.

Stary umiéra i widzim z jakim pośpiechem już ciało jego od kominka i ławki daleko odnieśli.

Drugi starzec występujący na scenę, jest znajomą nam postacią udającą młodzika —

łysy pokrył głowę peruką, ślepy zarzucił na nos okulary i stąpa twardo, żeby nie pokazać że mu drżą nogi — chce oszukać śmierć i siebie, chce żyć jeszcze.

Potém widzimy jeszcze schorzałego, zgrzybiałego dziada, który już kaszy nawet zjeść nie może, kwasny, ponury, siedzi i stęka, ręce jego już nawet much opędzić nie mają siły — I ten umiéra, i kładną go w grób jak w kolebkę, i zawijają go w suknie jak w pieluszki i już

Spi cicho!

Lecz oto scena się zmienia — tam z dala widać młodzieńca w sile wieku, rumiany, zdrów, wesół jak kwiatek rosą jeszcze okryty, idzie, bieży wesoło — i pada.

I widzim drugiego w tańcu, słychać śpiewy, wesołe żarty, resztę odkładają na jutro, żegnają się, wychodzą — i on idzie, a na progu śmierć z szyderskim uśmiechem ściska go i porywa.

Potém okryta suknią kobiécą śmierć (myślą godną poety) gra z dziećmi w ślepą babkę, wszyscy się łapią, wszyscy pozawiązywali oczy, ona jedna widzi — ona złapie wszystkich.

Nareście widzim jeszcze jedną postać, je-

dnego z młodych bożków ziemi — przed nim stół zastawiony owocami, on wstaje z łabędzich poduszek późną godziną, ubiéra się, stroi w drogie i kosztowne szaty, ubiéra się na śmierć, i już widzim trumnę i szczury które się do niéj dogryzają.

Potém słyszym wesele — oto pan młody i panna młoda, wcielone roskoszy nadzieje, widzicie ich uśmiech i tę myśl szczęścia która jak gwiazda świeci nad ich głowami — widzicie — oto z usmiechu spadły łzy gorzkie i gwiazda zagasła, i weselna sala pokryła się kirem, i muzyka weselna gra pieśń śmierci nad grobem!

Kończy się ten rozdział pięknie wyrażoną myślą:

Nie dopędzisz wczora cugiem,
Nie wyorzesz jutra pługiem.
Minęło,
Zniknęło
Bez zwrotu
Powrotu! —

I ciemno — ciemno znowu, aż oto rozjaśnia się, i widzim bogacza — w koło niego skarbce, pałace, złoto się świeci, miękkie futra się ścielą — widzim go jak mija kościół pogardliwie patrząc na tych którzy się biédni modlą do Boga — Złoto moim Bogiem! powiedział i poszedł — Poszedł, lecz uczuł że

schorzałego ciała nie nasyciło złoto — Uczuł że pozłocony po wierzchu, był jednak jak wszyscy ludzie tylko naczyniem glinianém.

Patrzcie z jaką pogardą ten bogacz spogląda z wysokości swoich skarbów na biédnych, jak siebie wysoko, świat mało ceni — lecz

W kieskach złoto
W sercu błoto.

te dwa wiersze mogłyby być przysłowiem.

Oto jeszcze nasz bogacz występuje na uczcie, widzimy jego paradne cugi w pozłocistych rzędach przed domem na popis postawione, w pałacu gra kapela i z powagą z jakąby się do najważniéjszego w życiu czynu przybierać można, oni tańcują — menueta. Tam daléj za stołem grają w karty, słyszym ich przekleństwa i przysięgi — a z okna przez wazony kwiatów śmierć zagląda z uśmiechem.

Otoż i dla możnych panów uwaga, dla tych, co rządzą ludzmi — im nie śmierć, ale Boga przypomina poeta.

Przezeń orły i motyle
Ile sił da — mogą tyle —

Nie jestże to piękna myśl i dobrze ubrana? A ta druga będzież się wam wieczni śmieszkowie, także śmieszną wydawać, kiedy się do panów odzywa:

Wielcy! — wyższe myślcie rzeczy!

Pozwala on tym których nędza do ziemi przyciska, mniéj często podnosić oczy do nieba, myśl do Boga — ale wyższych chce widzieć wyżéj i duszą od drugich. — Pokazuje im śmierć nakoniec lecącą, a za nią długi jéj ogon się wlecze i zmiata, wywraca trony, kraje, światy!

Z kolei przed obraz śmierci Ks. Baka wprowadza kobiéty, które świat wedle jego wyrazów oprawia za życia w złote ramy i wielbi— im pokazuje on naprzód starość i siwiznę, zapomnienie, najsroższą z rzeczy ludzkich, głuche zapomnienie po zgonie i śmierć która się tarza w podartych szatach i strojach, które zębami rozrywa i szarpie, a nakoniec trumnę, a w niéj jak kwiat podcięty, bladą twarz zwiędłéj dziewczynki.

Wnet nagłą zmianą bohater, rycerz wybiega, słychać go z daleka po chrzęście zbroi.

> Tyś przybrany w pancerz spiże,
> Twój bucyfał uszmi strzyże.

leci zapalczywy, blednie, lęka się — cofa — Czemuż się orężem od tego strachu nie bronisz? woła poeta — strzelaj i zabij śmierć!

Wielki rycerz pobladł z kolei na widok grobu, lecz się nie bronił. Dla tém mocniéj uderzającéj sprzeczności, poeta wystawia bohaterów Aleksandra i Xerxesa umierających,

wystawia wielką uroczystość rycerską, słyszym strzały, huk mozdzierzów, bicie w kotły, trąb dzwięki, widzim błyszczące stroje — cały przybór dumnego jakiegoś obrzędu, za którego długim tryumfalnym szeregiem, zawsze z uśmiechającą się szyderską miną, milcząca śmierć dybie.

Duchownym Ks. Baka prawi o poprawie obyczajów, lecz nie jest to sucha gadanina, ale pełny energij tysiącotwarzy obrazek. — Wszystko co w życiu Księdza może być powodem zgorszenia wyrzucił im na oczy, skąpstwo, pijaństwo, kartowanie, skoki i tany.

Po Księżach dworacy następują. — Łaska pańska którą *dowcipny* Krasicki porównał do pogód jesiennych, tu się pod kilką postaciami zjawia, raz jest to trzaska, która leci i nierozważnego biegnącego na jéj spotkanie, w głowę uderza, drugi raz jest to góra złota zmieniająca się w potłuczone czerepy — nakoniec widzim ją jak prowadzi wystrojonego młokosa z domu na dwór pański, a nazad oklep go wyprawia. — Charakter dworaka dobrze schwycony, mięsza się zaraz i wikła w otaczającéj go zepsutéj młodzieży towarzystwo, oto już lata, szepcze, roznosi plotki, wkręca się gdzie go nie proszą, radzi, pochlebia; nadzieje zawracają mu głowę, a

w tém wiatr zawiał z innéj strony i wszystko poleciało — został tylko grób a na nim motyka i łopata.

Mało znaczącym powtórzeniem poprzednich uwag jest następna Polakom i Litwinom, których tu ostatnich, maluje junakami — lecz godna zastanowienia rozmowa z cudzoziemcami, jedna z najoryginalniéjszych.

Witam gości w naszym kraju,
Z wami chętnie — jakby w raju
Żyć chcemy.

— Jakże się wam ten kraj podoba, panie cudzoziemcze.

— Ach! śliczny kraj! piękny, wesoło w nim, swobodnie, zielono — ale cóż kiedy w Marcu tak wiele umiera, w Styczniu tak niezdrowe powietrze, w Lutym taka śmiertelność, w Listopadzie tyle pogrzebów! Sliczny kraj, co za szkoda że w nim umierają.

Tak chorem powtarzają Włochy, wymuskane Francuzy i tłuste Niemcy!

Przemówienie do dyssydentów poważniéjsze — odznacza się w niém te kilka wierszy:

Jedenś Boże, jeden chrzest, ofiara
Jedna dusza, jedna też i wiara
Musi być od ciebie! —

Następują poczciwi Wileńscy mieszczanie,

a naprzód opisanie samego miasta, które chociaż zapewne służyć miało za ogólne opisanie Wilna, w którym żył Autor —

Miasta zdobią kamienice,
Rynki, gmachy i ulice
Imbary,
Koszary....
Góry biorą niebotyczne,
Wieże, wały, zamki śliczne —

Pogarda panów dla mieszczan oburza autora i woła:

Jedna dla nich śmierć cudowna,
Która gburów z panem równa.

Potém pokazuje im śmierć która oblatuje sklepy, kramy, zagląda do ratusza, tańcuje w szynku przy głosie rozbitych skrzypiec, i kładnie się spać pod ławą z pijakiem.

Za mieszczanami kmiecie idą — dla nich groźb nie pisał, lecz pociechę Ks. Baka.

Kmiotek stęka
Że tu męka,
Lecz przy zgonie,
Nie utonie
W łez rzekach. —

Tak, — lekka jest śmierć nieszczęśliwego, bo nie ma czego żałować na świecie. Chłopek jak mrówka pracowity, pisze daléj poeta, lekko zaśnie na wieki.

Przebiegłszy wszystkie stany, zwraca się

jeszcze poeta, żeby przemówić do téj wielkiéj rzeszy pijaków, która dołem i górą rozsypana jest po świecie. — Obrzydliwy stan zezwierzęcenia do którego przyprowadzają człowieka zwodnicze napoje, wybornie odmalowany.

Idzie opilec
Baryła
Otyła.

Z gębą szeroko otwartą, z oczyma wyszczyrzonemi mokrémi, których od szklanek i kuflów nie odwraca, pije — pije —

— Za małe szklanki! woła i wnet zamaszysto rozbija je o podłogę, większych! więcéj!. — pije i ściska antał — To mój pan! wykrzykuje w uniesieniu, niech piskleta kieliszeczkami piją — ja z beczki do dna z lagrem — i pije znowu, a oczy mrużą się powoli, gęba bezsilna nie umie się zamknąć— legnął i zasnął.

— Patrz! patrz! choć zyzem, woła poeta — patrz oto na twoim brzuchu śmierć leży i dmucha ci w usta, nie zlękła się krzyku i najeżonéj czupryny — nie odpędzisz jéj —

Nie wymodlisz, czołem bijąc.

Wstań i uciekaj od zdrady — zamknij usta, ona rośnie na chmielu i dojrzewa na jego pączkach! —

W następnych poezjach ogólniéjszych, już tylko pojedyńcze obrazki godne są wspomnienia, taki jest ten w którym ją pieszczącą, uśmiéchającą się, zdradliwą pokazuje —

Smierć matula
Nas przytula,
Głaszcze, wabi,
Nim zadłabi.

I drugi w którym Horacjuszową myśl — *mors aequo pulsat pede etc.* tak wyraził —

Jednym ciągiem,
Kosy drągiem
Sięga pana
I Iwana.

W ogólności w ostatnim wierszu śmierć pokazuje się metamorfozowana w licznych coraz odmiennych postaciach. Naprzód, widzim ją siedzącą na nosie u dumnego człowieka — potém ściska już kogoś drugiego, aż mu z oczu łzy płyną, trzeciego bije z miłości tak serdecznie że mu gruchocze kości, czwartego zwodzi uśmiechem i głaskaniem, piątemu wsuwa się cała w usta i wpoprzek w gardle siada, szóstego wracającego z bankietu, na drodze łapie w przesmyku, siódmemu przerywa smaczny kufel wina i gębę stula — ósmemu pokazuje się ubrana po myśliwsku i szczuje go jak zająca, ostatniemu niewidziana jak komar na uchu siada.

Rhytmus de Vanitate Mundi, po polsku i łacinie zakończający ten zbiór poezij, pokazuje daleko, wysoko, jasne niebo i Boga — szydząc gorzko z nędznego świata, któren Ks. Baka do worka plewy porównywa; kończy zaś tym pełnym filozofij wierszem.

Mundus — nuga nugarum!

Poezje Ks. Baki, wyszły raz piérwszy pod tytułem:

Uwagi o śmierci niechybnéj wszystkim pospolitéj, wierszem wyrażone przez Ks. Bakę S. J. Professora Poetyki, asumptem JMC Pana Xawerego Stefaniego, Obywatela miasta J. K. M. Wilna do druku na pożytek duchowny podane r. 1766 w Wilnie.

Piérwszego wydania, nawet w Wilnie dziś już dostać trudno, mamy za to dwa jeszcze: r. 1807 nakładem Amatorów w Wilnie i roku 1828 w Warszawie oba (8vo) z dodaniem przemowy R. Korsaka i Dedykacij sławnemu Burmistrzowi P. Dubinskiemu, który jak wiemy wydał zbiór praw i przywilejów miasta Wilna.

IV.

PRZECHADZKA PO BIBLIOTECE.

Na półkach leżą książki, a w nich zabalsamowane dusze pisarzy.

Anonim.

Chodźcie za mną, chodźcie i drzwi zamkniemy za sobą; niech się teraz świat kłóci, śmieje, płacze, nas tu nie dojdą swary, szyderstwa i łzy, utoniem w przeszłości — oto macie krzesła wygodne, stół do pisania, mappy, dla starych dzieci obrazki, dla ludzi książki, rękopisma, pamiątki wszystkich wieków i krajów, prawie wszystko to co się zostaje z wielkiego szumu wieków. — Sublimat przeszłości — treść życia milionów ludzi.

Nad nami wznoszą się dwa piętra książek— u dołu otaczają nas piękne kolumny milczące strażniki tych skarbów — naprzeciw przez okna widać drzewa — ogród i świat w oddaleniu.

Widzicie te dwie pozłocisto bronzowane szafy, ozdobione medalami Cesarzów Rzymskich, na których aniołki biją monetę — te szafy były własnością króla filozofa Leszczyńskiego — w nich są kruszcowe wieków pamiątki, medale, pieniądze. — Tam wyżéj na piętrze w téj szafie założonéj cienkiemi in folio znajdziecie wszystkie partytury Mozarta, Oratorja Hajdena, nowsze opery Webera, Aubera, Boyeldieu, Meyerbera, Spohra, kwartety Bethovena biédnego; jedném słowem, całe morze hieroglifów harmonij, które tylko czekają, żeby je kto ze snu przebudził.

Tu z boku te straszne in folia okazują nam, że w téj stronie spoczywają prace historyczne, i cała theologja polemiczna i wszystkie najrzadsze wydania biblij nasze i zagraniczne.

Za niémi mniéjsze formata świeższe okładki — są to podróże, pod niemi szereg atlantów — raczycie uważać że zacząwszy od *Historij Podróży Laharpa*, od owych poselstw do *Chin* i *Siamu*, relacij Missionarskich i t. d. aż do *Pallasa*, *Humboldta*, *Basil-Halla* i *Denona* wszystko się tu znajdzie czegobyście żądać mogli.

Ta druga szafa usłana jest historją naturalną, możecie w niéj oglądać piękne wy-

danie dzieł Buffona, a jeśli chcecie obrazków życzę wziąść w ręce *Le Vaillanta* Historją ptaków Afrykańskich i papug, flory — Historją motylów, a dla osobliwości i pojęcia wiele to Pan Bóg miljonów stworzeń posadził na ziemi, spójrzcie tylko w *Histoire des punaises*, w któréj możecie nie męcząc się czytaniem, napatrzyć się ich do woli.

Daléj Poezje, Teatr, Romanse, wszystko co chcecie do wyboru — oto Shakespeare, Goethe, Schiller, Klopstock, Voltaire, Rousseau, Pope, Montesquieu, Tasso, Ariosto, Dante. — Kto z was może czytać Danta w oryginale, niech się temu wydaniu charakterystycznemu Franciszka Sansovino przypatrzy. — Wyszło ono w Wenecij 1564. — Spójrzcie na ulaurowanego Danta na piérwszéj stronicy, a jeśli czytać nie chcecie; zobaczcie choć holcsztychy przy każdéj księdze.

Teraz proszę z sobą na górę, tam są łacińskie i polskie skarby — Widzicie te grube grzbiety pargaminowe — są to kroniki i wielkie dawne edycje klassyków, edycje Elzevirów, Aldów — Osobno znajdziecie rękopisma i inkunabula.

Pozwólcie mi sobie niektóre rzadsze książki pokazać — Oto jest jedno z ciekawych pism Matysa Strykowskiego.

Goniec Cnothy do práwych Sláchciczow, przez Máthysa Strykowiusá uczyniony — Cracoviae 1574. u Mac. Wirzbięty.

Jestto historja nasza wierszem wyłożona, bibliografowie nasi oddawna tę książkę znają — lecz nikt z niéj jeszcze wyjątków nie zrobił, pozwólmy sobie przeczytać ten kawałek, w którym autor o swoim dziełku przemawia:

Czytelniku miły
Nie gardź chudey siły,
Boć ja tu sam drogę
Toruję jak mogę,
Żaden wprzód nie chodził
Ani na to godził
By słusznie wywodził,
Zkąd się Litwin rodził,
Zkąd ten naród mocny
Wszedł w ten kraj północny.
Żaden nie dbał o ty
Litewskie kleynoty,
Który przez one poty,
Przyszli na cel cnoty,
Leżały w ciemności,
Cnych książąt dzielności
Litewskie godności
Dla pióra gnuśności. —
Jam nie s powinności
Lecz z szczyrej miłości
Rycerskiej biegłości,
Nałożył pilności
By tych mężnych gości
Litewskich wołości
Wywiódł ku jasności. —

Sam swój wiersz kieruję
Nie z innych smakuję
S swym się popisuję
Swym mozgiem pracuję
Dostatniej zgotuję,
Gdy wdzięczność uczuję.

Uczułby ją był w grobie przynajmniéj poczciwy Matys, gdyby był nam dokładnie źródła cytował, w téj książce jednak uważałem odniesienie się do Kroniki Ruskiéj Mnicha Dymitra, któréj zapewne i do historij swojéj używał. Lecz co dziwniéjsza cytowany w jedném miéjscu Petrarcha! więc nasz Matys go czytał i *per consequens* musiał umieć po włosku. Godne są uwagi piękne holcsztychy rycerzy w téj książeczce. Osobliwie ten który następuje na całéj stronie po nagrobku Hrehorego Chodkiewicza Wdy Wilensk. Rysunek jest czysty i wprawny — Rycerz brodaty z bułatem w ręku we zbroi, z hełmem ozdobnym w strusie pióra, ręką prawą pod bok się trzyma — twarz ma poważną — takiego samego widzieć można na łacińskiey Kronice Gwagnina, tego zdrajcę, który Matysowi naszemu wydarł owoc prac długich.

Przy Gońcu cnoty zwykle dołączony bywa, *Opis wyazdu* do Krakowa Henryka Walezjusza przez tegoż Matysa Strykowiusa *Praeconidesa* uczyniony i tamże gdzie i poprze-

dzająca książka drukowany (4to typ. goth. D. 4.) —

Teraz pokażę wam jeden z rzadkich Krakowskich *incunabulów.*

— *Vita beatissimi Stanislai Cracoviensis Episcopi, nec non legende, Sanctorum Polonie, Hungarie, Bohemie, Moravie, Prussie et Slesie patronum. In lombardica historia non contente.* (4to typ. goth.) Holesztych pod tytułem wyobraża wskrzeszenie Piotrowina, jest zaś szkaradny — gorszy jeszcze drugi na odwrócie — Druk gocki podobny do tego jaki jest na *Catholiconie* Fausta i Schöyffera (1460), też same skrócenia Na końcu —

Finit feliciter vita beatissimi Stanislai Cracoviensis Episcopi et Polonor. Prothomartyris mirifici. Edita per egregium virum Dnum Joannem Dlugsch Canonicum Cathedralis Ecclesiae Cracovien. Anno Dni 1465 *et alie legende sctorum polonie, hungarie, bohemie, moravie, prussie et slesie patronum. Impressum Cracovie in edibus providi viri Joannis Haller, Anno Partus Virginalis Millesimo quingentesimo undecimo, die Mercurii vegesima quarta mensis Decembris* (Rejestru k. 4.)

Prócz tych traktatów o S. Stanisławie,

zawierają się tu — Legenda i życie S. Wojciecha Bisk. i męczennika, S. Florjana, S. Wacława, Zygmunta Króla, S. Antoniego Spowiedn., S. Władysława Króla, SS. Zoerarda i Benedykta, o Marij Snieżnéj, o Przemienieniu Pańskiém, o S. Stefanie Królu i patronie Węgierskim, o S. Gerardzie, o S. Dymitrze, S. Emeryku, S. Jadwidze, o przeniesieniu S. Florjana męczennika i wojownika.

Finis, de qua Deus sit benedictus.

Oto między łacińskiemi w tych bibulastych okładkach bardzo ciekawa książeczka — *Index librorum prohibitorum Sanctissimi Domini nostri Benedicti XIV. Pontificis Max. jussu recognitus atq. editus. Ed. postrema ceteris ornatior cum additam. Romae MDCCLXIV. Ex typogr. Rev. Camerae Apostolicae cum Sum. Pontif. privilegio* (8vo 232 p.) — Dla wiadomości waszéj wyczytam wam ztąd naszych zakazanych pisarzy.

Amplia (*Joannes*) *Polonus* 1. Cl. App. Ind. Trid. (p. 50.)

Ascesis spiritualis pro confraternitate S. Joseph edita a Confratribus dictae Confraternitatis in Eccl. Varsaviensi Carmelitarum discalceatorum congregatis. Decr. 3 Jun. 1671. (p. 54.)

Burcardi (*Franciscus*) *Superintendens Vilnensis* — 1. Cl. Ind. Trid. (p. 69.)

Clodinio, ovvero *Klodzinsky Girolamo.* Esercitii Spirituali, da farsi nelle cinque Novenne ch. Decr. 30. Jun. 1678. (p. 79.)

Herbinius Joannes Religiosae Kijovienses Cryptae, sive Kijovia subterranea. Decr. 18 Maii 1677. (p. 119.) — To dzieło wyszło w Jenie (1675) *Braun p.* 212. Herbinius wysłany od Przeora Bazyljanskiego z Wilna do Kijowa, tam opis ten ułożył.

Hilarius Henricus, *Philippi Cyprii Chronicon Ecclesiae Grecae*, cum Commentariis et notis. Accessit in fine Appendix Historiae Patriarchicae. Decr. 1. Apr. 1693. (p. 120.) W tym dziełku znajduje się list sławnego Patrjarchy Meleciusza do Zygmunta III. z czasów Unii.

Kepplerus Joannes, Epitomae Astronomiae Copernicanae. Decr. 10. Maij 1619. (p. 130)

Krantz. Wandalia (donec expurgetur. App. Ind. Trid. (p. 132.) — Wandalia Krantza jest rzadkością dzisiaj i słusznie do inkunabułów liczyć się powinna — Kładę ją tutaj dla tego iż w części i dzieje polsko-litewskie opisuje — tytuł jéj następny: *Wandalia Alberti Krantz. Coloniae impressa.* MDXVIIII. (1519) fol. na końcu. *Impressum Coloniae An.MDXVIIII.*

Mense Aprili, Registrum totius operis Wandaliae: a. b. c. d. e. f. g. h. i. k. l. m. n. o. p. q. r. s. t. v. omnes sunt terniones, exceptis a. t. v. qui sunt quaterniones. A. B. C. D. E. F. G. H. I. K. L. M. N. O. P. Q. R. S. T. omnes sunt terniones. Johannes Soter alias Heil ex Bentzheim et Socii impresserunt. W Przedmowie Sotera datowanéj *ex Colonia Agryppina III Calend. Majas. MDXVIIII.* wyrażono że księga ta odbita jest — *typis aeneis.*

Lasitki (Lasicki) *Joannes*, de Russorum, Monovitarum et Tartarorum religione, sacrificiis nuptiarum et funerum ritu e diversis scriptoribus. *Decr. 7. Aug.* 1603. (p. 133).

(Lettera di Antonio Possevino, nella quale si sforza di provare, che i Libri, che si leggono sotto il nome di Dionigi Areopagito, siano di quello che fu discepolo di S. Paolo, con la refutazione delle sue ragioni. Decr. 16 Martii 1621. p. 136.)

Lubieniecius Stanislaus, Historia Reformationis Polonicae, in qua tum Reformatorum, tum Antitrinitariorum origo et progressus in Polonia narrantur. Decr. 27 Maii. 1687. (p. 143.)

Markiewicz Joannes, Scandalum expurgatum contra Instit. Soc. Jesu. Decr. 24. Nov. 1655.

2. Speculum zelis a pessimis ad exemplar maliti contra sacros Canones et jurisdictionem Ecclesiasticam elucubratum (d. d.)

3. Veritas bonae vitae ex occasione occupatae haereditatis Jaroslaviensis, Partribus Societatis demonstrata (Decr. 4 Decebr. 1674.)

4. Summus pontifex Innocentius X. de duplici Institutione Sosietatis, ejusque constitutionib. et declarationib. interrogatus. (d. d. (p. 147).

Ten sam Markiewicz wydał w Paryżu pisemko — *Decima Cleri Secularis in Regno Pol. defensa contra exemtiones Patrum Soc. Jesu per Joan. Markiewicz J. U. D. Canonicum Posnaniensem. Parisiis. M. DC-XLIV. Cum approb.* (4to. VIII. et 8o p.)

Niesielski Adamus. Speculum zeli pro clero in materia decimarum adversus polonam Societatem Jesu. Decr. 4. Jul. 1661. (p. 159.)

De Pelhrzimow seu *Pelgizimow* (*Nicolaus.*) Thaborensium Pseudo-Episcopus. 1. Cl. Ind. Trid. (p. 167.)

Radivil seu *Radzivil.* (Nicolaus) Palatinus Vilnensis. 1. Cl. Ind. Trid. Nie wiemy coby to było za pismo Radziwiłła, zgadujemy jednak że to są chyba listy do Lippomana Legata. (p. 176.)

Reinecii (*Reineri*) Chronica Slavorum seu

Annales Helmoldi, addita est Historia de vita Henrici IV. et Gregorii VII. Decr. 4. Febr. 1627. (p. 179.)

Sarnicius Stanislaus. 1. Cl. App. Ind. Trid. (p. 189.) Są to *Annales* jego wydane 1587 roku fol.

Da Siena fra Tomaso (Bernardinus Ochinus) Prediche App. Ind. Trid. (p. 195.)

Thomas Smith Miscellanea. Decr. 29 Maii 1690. 2do. Vitae quorundam eruditissimorum illustrium virorum. Decr. 4. Mart. 1709. 3tio de Grecae Ecclesiae hodierno statu. Decr. 7 Febr. 1718. (p. 197.)

Miscellanea jedyne z pism Smitha nam znajome wyszło w Londynie — (*authore Thoma Smith Eccle. Anglicanae Presbytero. Londini. Impensis. Sam. Smith. ad Insigne principis in Caemeterio D. Pauli. MDCLXXXVI.* (1686) 8*vo* 198 *p.*) Tu się znajdzie opis Unii 1596 r. (p. 56. 57) i Unia obronna r. 1599. (p. 58—59.)

Znajdujemy także na Indeksach pisma Marcina Polaka (*Martinus Polonus*) który był Penitencjarjuszem Papieży Jana XXI i Mikołaja III. mianowany Arcybiskupem Gnieznieńskim, umarł nieobjąwszy go w Bolonii. Wiodły o niego spór zakony Benedyktynów,

Cystersów i Dominikanów chcąc go sobie przywłaszczyć.

Znajduje się zaś na Indeksach z powodu historij którą o Papessie Joannie piérwszy zdaniem Bellarmina położył. Baronius jednak wynalazcą téj historij mianuje Marjana Scotta (wieku XI.)

Po większych Bibljotekach wiele jest rękopismów Roczników, Marcina Polaka, Fryd. Spanheim za swego czasu (XVII) widział ich osiém w Wiedniu, z których dwa na pargaminie, dwa w Lejdzie, jeden in 4to pargam. drugi in folio, prócz tego cytuje pargaminowy Jakóba Chifflet i jeden angielski nie pisze gdzie. Najdawniéjsze zaś wydania są 1574 roku w Anvers przez Plantin zrobione, Edycja z notami Suffrid. Petr., Edycja Bazylejska 1599 z Kroniką Marianusa (Scotta) staraniem Herolda i roku 1616 w Colonii, Jana Fabrycego Cezara Kanonika Gladbach. W téj ostatniéj omyłką nazwany jest *Archiepiscopus Consentinus.*

Ktoby się kiedy mógł spodziewać, żeby tytuń, ta niewinna roślina wyspy Tabago, mogła być powodem do wielu swarów i kłótni? Wiemy już o książce króla Angielskiego przeciw Tytuniu, i o *Antimiso Kapnos* Jezuitów i o całéj téj sprawie przed Zygmunta III.

dla marnego dymu wyprowadzonéj. Wówczas używanie tytuniu było jeszcze prawie nas nie doszło — w ogrodzie Władysława IV. za osobliwość pokazywano *sławne ziele Tabaka*, pisze Jarzembski w opisie Warszawy, lecz oto książeczka dosyć dawna o tabace i tytuniu.

Nauka jako o dobrym także o złym używaniu proszku Tabakowego, przy tym żart piękny o tabace dymnej. J. S. (4to). Holcsztych nieźle rysowany wystawia salę w głębi okna mającą, osłonioną z boku draperją. Za stołem okrągłym siedzi trzech biesiadników, jeden z hiszpańska ubrany pije z dużéj szklenicy, drugi z turecka w zawoju, tytuń pali, trzeci nasypuje sobie na rękę tabakę do zażycia. Na przedzie podczaszy wąsacz nalewa szklankę, drugi służalec gra na dudzie, małpa tabakę zażywa, stoi oparty jakiś starzec i Bachus siedzi na beczce z zielem tabakowém w ręku, łatwém do poznania. Długie role tabaki leżą na przodzie, stoją dzbany i flasze — na stole naczynia różne. Wyszło to pismo roku MDCL. (in 4to typ. goth. 20 str. i 4 nieliczb.)

Pokazuje się z tego świstka, że w owym czasie zażywanie tabaki wchodziło w upowszechnienie, bo (str. 13) już i o kobiétach

zażywających jéj wspomina. Pisane z erudycją częstokroć niepotrzebnie szafowaną — Nagrobki i żart o tabace dymnéj, który miał być *piękny* według tytułu, wcale jednak się nie udały. Król Stanisław Leszczyński palił tytuń, i jak wiadomo tylko co w nim go nieotruto.

Odtąd jakże się to tytunie, tabaki rozmnożyły, pogatunkowały! Któż nie zna teraz roskosznego zapachu Hawańskich Cygarów, Amerykańskiego tytuniu, lub wonnego dymu liści Latakie? Teraz dym fajki lub cygara jest towarzyszem każdego próżniaka, poety — na nim podnoszą się w górę dzikie poobiednie marzenia, fantastyczne wieczorne dumania. — Dym fajki jeśli dziś nie jest tak trywialnym, jakby być mógł, winien to Hoffmannowi, który go upoetyzował — możnaż sobie wyobrazić tego patrjarchę dziwaków inaczéj, jak w atmosferze dymu tytuniowego nad bohlem punczu, z zielonym kielichem reńskiego wina?

Ta książka, są to tak zwane *Paralelle* Krzysztofa Warszewickiego, noszą one tytuł.

Speculum analogiae et metamorphosis aliquot magnatum, hoc est: Caesarum, regum et maximorum principum, unius et ejusdem partim generis et nominis, partim

etiam Imperii ac dominationis, Vitarum Parallelarum Libri duo, in quibus regnorum et imperiorum subitae mutationes, rerum ac temporum vicissitudines etc. recensentur, auctore Christophoro Varsevicio C. C. Quod quorum quoque contineat, pagella post prefationem monstrabit. Francoforti apud Wolfgangum Richterum, Sumptibus Nicolai Steinii MDC.VIII (1608) 8*vo.* 432 *pp.* Przypisana ta książka Rudolfowi II. Cesarzowi (dedyk. 6½ str.) — Są tu życia i porównania dwóch Darjuszów (zawsze pierwszego i ostatniego bierze autor) dwóch Augustów, dwóch Konstantynów, dwóch Karolów Martellów, dwóch Berengarjuszów— a w ks. IIgiej dwóch Baldwinów, dwóch Jagiełłów (Władysława i Zygmunta Augusta) i dwóch Franciszk. Sforzia.

Swojskie rzeczy najobszerniéj traktuje Warszewicki. (Życie Wład. Jagiełły od 123 do 294 Augusta od tej do 408 Paralella do 412.) Książka pisana wymównie, z krytyką nie dziejów, ale czynności osób.

Zygmunta Augusta bardzo ostro traktuje Warszewicki, miał mu za złe tolerancją jak widać, elekcje które po nim i *indirecte* z jego przyczyny nastały, nakoniec rozwiązłość obyczajów. Dobry jest opis i *Epitome* życia

Władysława Jagiełły, tu i ówdzie rozsiane są sentencje i deklamacje szczęściem nie bardzo długie. To pismo wszakże do śmielszych pomysłów wieku poczytać można, bo inni gdy Zygmunt III. odrośl Jagiełłów, był jeszcze na tronie, nie ważyli się, może to samo myśląc, śmiele myśli swojéj napisać.

Paralella cała jest na korzyść Władysława Jagiełły, August całkiem w niéj poniżony, u potomności jednak to zdanie na sąd jéj wpływać nie może. — Słaby Zygmunt August politowanie wzbudza — Jagiełło oburzenie, gdy wspomnim na zdradzenie i zamordowanie Kiejstuta, na niedochowanie wiary Witołdowi, na charakter jego popędliwy i wrzący.

Na naszym ekzemplarzu, czytamy taki na pierwszej karcie dopisek — *Editio libri rari et in Polonia prohibiti. C. L. Vogtio ignota, prodiit primum Cracoviae* 1603 *fol.* — Załuski może przez omyłkę daje Frankfortskiéj edycij rok 1606.

Śmiały sąd Warszewickiego o Zygmuncie Auguście, powszechne obudził oburzenie, poeta Stan. Grochowski, ujął się za poniżoną sławę ostatniego Jagiełły. — Wydał on z tego powodu wiersz pod tytułem:

August wzbudzony Stan. Gr. (w Krakowie

w Druk. Jákuba Sybeneycherá R. Pansk. 1603. 4to. typ. goth. 26 kart, dedyk. Zygmuntowi III. Holcsztych pod tytułem wyobraża Augusta idącego z Walentym Dębinskim Kanclerzem Koronnym — noc, gwiazdy, miasto w oddali. To wydanie osobne zdaje się być nieznajome naszym Bibliografom — znajduję na moim ekzemplarzu dopisek zajmujący ręką autora — „*Excellentissimi ingenii viro D. Simoni Simonidei amicissimo suo autor testificandae observantiae et antiqui amoris causa dedit.*“) W całych pismach Grochowskiego, wiersz ten zajmuje od str. 469 do 520. Tytuł cokolwiek przedłużony. — (*August Jagiełło wzbudzony przeciwko Paralellom łacińskim, osoby tegoż ś. pamięci Pana dotkliwym, na usilne żądanie i prośbę niektórych Senatorów napisany i do druku podany w Krak. r.* 1608.) Dedyk. Andrzejowi Boboli. Wiersz ten obejmujący pokrótce dzieje panowania Zygmunta Augusta, na swój czas jest bardzo dobry, równie co do stylu, jak co do myśli, w które jednak nie bardzo jest bogaty.

Teraz zobaczym jeszcze kilka pism żartobliwych — Oto jest naprzód:

Synod Klechów Podgórskich, dla nieustawiczności porządku między niemi w Krakowie złożony i uczyniony R. 1607. 10 *Januarii.*

Jeśli chowasz robotnika,
Niechże z ciebie ma płatnika
Niezwłócznego, bo on sobie
Zdrowie trapi, robiąc tobie,
By nie żądał pomsty na cie,
Przed Bogiem, obacz się Bracie.

(b. m. dr. goc. 4to wiersz.)

Uciski Klechów (dziadów kościelnych) przez plebanów były powodem do tego pisma pół żartem pół doprawdy pisanego. Zwołanie na Synod jest po łacinie, Statuta Synodalne prozą po polsku, reszta nędznemi wierszami. Była może chęć w pisarzu, aby to pismo, plebanów do lepszego obchodzenia się z klechami nakłoniło. Istotnie ciekawe są Statuta Synodu, lecz narady poprzednicze długie i nudne, dla niektórych może będą zajmujące, szczegóły praktyk czarnoksięskich, o których się tu dowiedzieć można.

Nie wiem czy nie była to satyra jakiego zjazdu i wydanych na nim Statutów.

Otoż i drugie pismo w tym sposobie.

Peregrinacia Dziadowska zwłaszczá owych Jármarczników trzęsigłowów: w który sposób zwykli bywać na mieyscach świętych. Nie tykając tych, którzy sprawiedliwym karaniem Bożym nawiedzeni, przy kościelech abo w szpitalach siedzą.

Czyńcie sobie dobre przyiaciele,
Ze złych groszów, których bardzo wiele:
Iż gdy dobrej monety nie stanie,
Przynajmniej zła u Dziadów zostanie.

Januarius Sowizralius. Annus Dominus 831954730.

(R. Pańsk. 1614. 4to. dr. goc. nieliczb. kar.)

Zdaje się że w tém pismie prócz igraszki i odmalowania sprośnych obyczajów dziadowskich, żadnego innego celu nie było. Satyrą na wyższych być nie może, bo nadto jest szczegółowe i bez żadnych przystosowań. Osobliwsze są imiona rozprawiających tu Dziadów — Chełpa, Lagus, Wyrwant, Toboła, Dygubey z Lupa, Kałwica Baba, Marek, Bałabasz, Kubrak, Choroba, Chrapek, Kula, Klimek, Labaj, Chmielarz, Drabant, Kuźma, Lech, Stypuła, Kropiński, Sztyła, Wiłkotek, Lepiasz, Korman, Slepy Dziad, Pędziwiatr, Jaćko, Zwoniczka stara, Chroma Baba, Guza Baba, Labajka, Latawica Stepa, Zając dziad — Zakończają dwa następne wiersze:

Tę książkę ofiaruję za kolendę dziadom,
Com pisał, to prawdziwie, bom sam tego świadom.

Otoż jak który z naszych romanso-pisarzy, wsadzi w swój obraz działającego Dziada lub Babę, a recenzent powie, że to jest naśla-

dowanie Walter-Scotta lub Banima (1) a nie rzecz z obyczajów naszych wzięta, odesłać można P. Recenzenta żeby przeczytał ten stary obraz dziadowskiego życia, w którym wszystkie ich zatrudnienia i figle znajdzie, usprawiedliwiające użycie podobnéj figury w romansie — Jeżeli P. Recenzent zechce co czytać, bo oni zwykle i tego nie czytają o czém piszą.

Po *Peregrinacii* następuje osobliwszego pomysłu dziełko, troche brudno napisane, ale jak na siedmnasty wiek charakterystyczne— Ten rodzaj *humoru* jaki w nim znajdziem, jest prawie jedynie używany w tém wieku u nas, zależy on na tak szalonym przewróceniu wszystkiego do góry nogami, że ledwie się cień jakiś rzeczy dostrzedz daje.

Nie jest to żartobliwość — jest to rodzaj szalonéj naiwności. — Może być że ta Satyra którą zaraz lepiéj poznamy, miała za cel wyśmianie podróży młodych paniczów, do obcych krajów. Trzeba być bardzo poważnym, żeby się z początku nie rozśmiać, bardzo cierpliwym żeby się temi grubemi żartami Sowizraliusa nie znudzić na końcu; — Ta butada choreja wesołéj głowy nosi tytuł.

---

(1) Antykwaryusz, Żebrak z ruin (Banima).

— *Peregrinacya Maćkowa z Chodawki Kurpetowego syna, a Nawłokowego brata, którą opisał Kopera na kobylim pargaminie.*

Jest to istotnie podróż Maćka Mazura, a w jakim rodzaju pisana dadzą poznać następne wyjątki, w których religijnie zachowuję oryginalną ortografją.

„— Wysedsy z noclegu, trafili mi się styzey, towazyse, ieden głuchy, drugi ślepy, trzeci nagi, cwarty chromy, tedym był barzo rad towazystwu, bo byli chłopi mężni y urodziwi, wzwys na połtora łokcia, a wserz na dwa łokcia. A idąc z nimi psez ono puszczą, ozmawialiśmy z sobą, o wielkich zecach. A w tym zekł do mnie głuchy (bo mnie starsem między sobą ucynili) Panie, coś tu selesci, po tey chrześlinie nie daleko nas, a słychałem że tu na tey puscey są zboycy. Potym zekł ślepy — Panie moy, y mnie się cos mignęło psed ocyma — Alić nagi pocnie mowić, a niestoiciez, by nas ieno nie odarto. W tym chromy krzyknął — Uciekaymy, y tak porwawszy się wsyscy, wciekli odemnie, a ia sam na poły umarły został od wielkiego strachu.“

Lub daléj.

„A od tey groble iuż iedno z cwierć mile

ku zamkowi począł się most psez pagorki z sarej pajęcyny, na kobylicach mglistych, po którym śliśmy smiele do samey brony (bramy) barzo mocney z komorowych goleni. Zwód był z twarogowego kołaca, krata s psepiorcych sieci, kłotka pętna z łycaka, a wrotny z samego twarogu, mąż siwy y wielki, na piądź od ziemie, a broda na łokiec. Potym zakołataliśmy we wrota gomołką twardą z kalety (torby) wyjąwszy, y wysedł do nas wrotny, a obacywsy nas swidrem psez kratę, poznał zesmy ludzie podrożnicy a cudzoziemcy, nie chciał nas puścić azem ja ukazał mendacią pod pieczęcią z Osieka, od Pana Bluymistrza.

Pozwólmy sobie jeszcze przeczytać ten kawałek, dziwując się że autor mógł na tym tonie utrzymać się przez kilkanaście kartek.

„A w tym poyzymy za stół, i obacymy a krol za stołem siedzi, osoba grzecna, coło miał sklane, twarz z łupin orzechowych, zęby rzepiane, brzuch słomiany, wąs błękitny, a pod kolanami się zaiąkał, w toconych pończoskach, szata na nim z wosku cerwonego, kołpacek z łużnego worku. Zapona barzo iasna z serseniowych łupin, kamieńmi drogiemi sadzona, wsystko głazami — azem sobie slepie zatkał! A kita była z krowiego ogona,

baćmagi (bóty) miał barscowe — Podle niego siedział jakiś półgrabia, który był w gościnę psyjechał, w serwatcanym zupanie, a farczya twarogowa, młodym masłem podsyta, a guziki od samey gęby z maślanki pluskane, aż pod pas zachodziły. Pas miał cukrem sadzony bagazyowy.“

Wszystko to dzieje się na Jęczmiennym świecie, dokąd Maciek zawędrował — ale jeszcze na dobitkę opis łoża królewskiego.

— „ Potém zaprowadziliśmy króla do łoznice kosztowney y obitey, w ktorey ściany z jesienney mgły, obicie z marcowego wiatru, letnią rosą hawtowane, posciel barzo gzecna z drobnego ksemienia, kołdra z koperwasu mieniona, hałunem tartym nakrapiana.“

Dajmyż już nareście pokój Maćkowi i Sowizraljuszowi, a przéjdźmy do innych tegoż rodzaju i wieku książek.

Oto jest:

Woyna główna między kotem a myszami, które bacząc się być ukrzywdzone, uczyniły zjazd y uradziły woynę podnieść przeciw kotowi, przytym o nędzy, zaraz po tey woynie dla czego w sieci, a nie w inszych szatach, upodobała sobie chodzić.

Czytelniku łaskawy, nie dziwuy się temu,
Yże woynę podnosi, narodu myszemu,

Wszak też y olbrzymowie na Bogi walczyli,
Tak potężnie mało ich z nieba nie zrzucili,
Już byli nałożyli kupę gór nie małą,
Aż Jowisz piorunem bił, ledwie ich zuchwałą
Y uporną myśl skrócił, także y te myszy,
Skoro im kot chłostę da, będą ony ciszy.

(R. pansk. 1608. 4to. typ. goth. 2 karty, holcsztych i wiersze o nędzy — nędzne). — Bez wątpienia jest to satyra ówczesnych przygotowań na woynę — lecz ciekawa rzecz czy ją Krasicki czytał?

Nie wiém czy do dyalogów to jest piérwszych prób dramatycznych, przeznaczonych do grania na scenie, czy tylko do prosto satyrycznych poezij następne policzym.

Albertus z woyny. Teraz znowu wydrukowany w Krakowie w drukarnicy u Dziedziców Jakuba Siebeneychera R. P. 1613 (*4to typ. goth.*) Jest to rozmowa wierszem księdza, jego dawnego wychowańca Albertusa i Wojtasa opisująca wyprawę wojenną, podobną Don Quichottowéj, albowiem na dobitkę podobieństwa jest tu i Rossinant bez ogona. Pisemko to nie jest bez zalet imaginacij, a przy lepszym smaku w wykonaniu, uszłoby za niezłą satyrę.

Uchwała dworska na Tatary.

Długo myśleć, wskok czynić, jest to zwyczay stary,
Tym sposobem pan Hetman pogromił Tatary.

R. P. 1614 (b. m. 4to. typ. goth.) Dedykowana Janowi Topolskiemu X. J. M. PP. — Jest to wniosek żartobliwy aby słudzy co panów swoich kradną, kommisarze, masztalerze, kuchmistrze i t. d. dali coś każden na potrzeby wojenne.

Praktyka dworska. W Krakowie w drukarni Mik. Loba R. P. 1615. (4to. typ. goth. et cursiv.) Autor Jan Zabczyc przypisał ją Mik. na Żywcu Komorowskiemu.

Są to różne prawa albo przepisy moralne osobliwie dawnych Greków, wszystkie wyborne — ale rzecz kończy się dowcipnym słownikiem dworskim z którego wyjmiem kilka słów na próbę.

Blasphemus, Dworzanin.
Fornicarius, Frant.
Ebriosus, Chlebodawca.
Expoliator, żołnierz.
Impunitas, zwyczaj.
Injustus, zabiegły.
Inobediens Deo, Regi-legi, wolny sobie szlachcic.
Licentia, wolność szlachecka.
Necessarium malum, piękna pani.
Praevaricator, prokurator.
Rapax, czujny o sobie.
Sedulus, Niemiec.

Temeritas, rozsądek.

Usurarius, rządny magrosz.

Prodigus, dobry człowiek.

Myśl tego słównika, którą potym nicowali na wszystkie strony, wydawcy Swistków, motylów, pszczoł i pszczółek, jako oryginalna wówczas nie jest bez dowcipu.

Tegoż Żabczyca jest jeszcze. *Ethyka dworskie w Krak. w druk. dziedz. Jak. Siebeneychera.* R. P. 1615. (4to. typ. goth. medalion z napis. Concordia) przypisana Gerzemu z Siecina Krasickiemu-Chorążemu Halick. — Są to dystychy i tetrastychy moralne, niektóre dosyć trafne inne grubo wyrażone i pospolite.

Zbiory podobnych epigrammatycznych ucinków i zdań bardzo są liczne w XVII wieku, a w ogólności wszystkie pisma satyryczne są krótkie i jakby z wysileniem pisane.

Oto jeszcze zbiór podobny.

Swiat po części przeyrzany do druku podany, Krak. Druk. Fr. Cezarego R. P. 1697. 4to. typ. goth. pag. n. n.) autor Dan. Bratkowski, przypisał go Augustowi II. Zdaje się że ta książeczka zresztą mało warta, piszącemu o przysłowiach mogłaby się przydać.

Swiatowa roskosz z ochmistrzem swoim y z dwunastą swych służebnych panien,

przydana jest fortuna polska dzisieysza. Drukowano z poprawą R. P. 1624. (4to. typ. goth. F.) Autor Hieronim Morsztyn znajomy jako ojciec przesławnéj Banialuki i całych Antypastów, przypisał ten wiersz Mik. Zenowicowi Wojewodzicowi Brzeskiemu Dworzanin. J. K. M.

Ochmistrz światowéj roskoszy jest dostatek, a Panny, Pompa, Assistencja, Compania, Dieta (ale nie doktorska) (sic) — Piatyka, Podwika (spodniczka) Muzyka, Saltarella, Krotochwila, Gra, Przejadżka, Uciecha — Kończy na — *Vanitas vanitatum* i trupiéj głowie. Niektóre wiersze mniéj chropawe.

Cnota grunt, fraszka złoto,
Wszystko to ziemia, błoto,
Wszystko to czas rozchwieje,
Cnota się nie starzeje.
Bogactwa nie jednego,
Zagubiły głupiego!
Na cnocie nikt nie traci
Sam ją Bóg dobrze płaci.

Lub daléj przy końcu.

Grób ci ciało okryje,
Robak kości rozryje,
Ziemia w ziemi, a duszę,
Bogu poruczyć muszę.

I jeszcze o złocie.

Dobre złoto przy cnocie,
Lepsza cnota przy złocie.

— — Wiem choć cnoty nie ganię,
Że nie da żyd nic na nie.

Potém holcsztych wyobraża trupią głowę z napisem: *Mors ultima linea rerum!* pod którą są jeszcze takie cztéry wiersze:

Bryła ziemi mój zamek, a pokój tarcica,
Na łokieć w ziemię mój sklep, to moja piwnica,
Poduszka twardy kamień, ubior gnoju szmata,
Robak sługa. To wszystka korzyść tego świata.

Nie będziem już zaglądać nawet do Banialuki i ominiem poczciwego Bartosza, dziesięcioro przykazania mężowo — lecz niepodobna niezajrzeć przechodząc do Sielanek i Epigrammatów Simona Simonidesa. Pod względem myśli i języka, są one najlepsze z tamtych czasów w swoim rodzaju. — Wyszły one 1640 Krak. (4to. N. 3.). Nagrobki zbieranéj drużyny wszystkie prawie dla źwierząt, dosyć dowcipne, a przyłączone Nagrobki Zielone innego Autora im nie ustępują. Na przykład:

Dudzie (dudarzowi).

W tym grobie Duda leży — Dudy naleziono,
A po śmierci na starej wierzbie zawieszono,
Smierć trochę uprzedziła, i opak się stało,
Bo co się Dudom dzieje, to Dudom być miało.

Złéj żonie.

Ten grób dostał się jednéj jadowitéj żenie,
Ale, by miała ziemia morskie przyrodzenie,

Żeby co nieczystego z siebie wyrzucała,
Nigdziebyś zła, niebaczna, grobu nie dostała.

Z żalem od ślicznych Simonidesa wierszy, przejdziem do ciekawéj ramoty.

Postny obiad abo Zabaweczka, nim poście (zamiast *w poście*) *w kuchni gotowo będzie o jedenastey godzinie na pułzegarzu i t. d. p. P. H. P. W.* Krak. 1653. day Boże szczęśliwego. (więc to wyszło jak na kolendę) (4to. typ. goth.) Są to epigrammata na potrawy i na gości którzy za stołem siedzą — dla ciekawości gastronomów wypiszmy postne potrawy — Cudowny odbyt książek kucharskich w Litwie (świadkiem Szyttler) każe się spodziewać, że każdy kto pisze do brzucha Litwinów, lepiéj przyjęty zostanie, niż ci co piszą do głowy lub serca.

Polewki. Migdałowa, winna, kaparowa, siemienna, barszcz, kisiel szlachecki, kisiel chłopski, żur, gruca, grochówka, birembrut (bier und brodt).

Ryby. Łosoś, pstrągi, brzany, lypienie, barwany, sliże, czeczugi, kiełbie, jesiotry, ninogi (sic), szczuka (szczupak) żółto z pańska, szczuka żółto po szlachecku, szczuka szaro, szczuka rosołowa, karp czarno, karp szaro, karp rosołowy, okuń, leszcz, jadźwiec, karaś, liny, bielec, jazgarze, wzdręgi, węgorz,

płocice, stokfisz, wyzina, żaby, żółw, ryby w pasztecie, ryby w ciastach francuzkich, mientusy, sum, karpkaraś, piskorze.

Jarzyny. Rzepa, kapusta z grzybami, o niéj powiedział:

Litewski pewnie przysmak kapusta z grzybami,
W Wilnie ją stawaj na stół między półmiskami.

Bóraki, śliwy i t. d. Są jeszcze w dodatku kluski, całki, paluszki z miodem i t. d.

Wety. Cukry lodowate, frukty (sic) orzechy, groch prażony.

Któż z nas nie słyszał piosnki o zającu.

Zając sobie siedzi pod miedzą?

Każda służąca śpiéwa ją z nudy, koląc się w palce i siedząc nad robotą — Miło mi więc oznajmić, że ta piosnka jest z roku 1650 i może być uważana, jako żywa jeszcze pamiątka XVII wieku w XIX. Jest ona tutaj umieszczona na końcu i więcéj warta od wszystkiego razem, opis polowania, ucieczka zająca, mowa jego przed zgonem, wszystko to wiele ma fantazij — nic nie mówię o wierszu, bo gdzie jest jaki taki pomysł, nie godzi się surowo na jego strój patrzeć.

Zaczyna się.

Zając sobie siedzi pod miedzą
A myśliwcy o nim nie wiedzą,

Po chrościnie zakładają,
Szczują, trąbią i wołają
Owo bież.

Długo ze złemi psami przeciąga się polowanie (1), wzięli nakoniec nieszczęśliwego zająca i ten się jeszcze tak do myśliwców odzywa:

Siedzę sobie w boru jak w domu
Nie uczynię szkody nikomu,
Miasto mięsa wrzosem żyję
Miasto wody rosę piję,
Na trawie.

Grochu nie potłukę, ni prosa,
Pod strachem też idę do owsa,
Z brzegu tylko niedojrzałych
Kosztuję ziarn y niecałych
Z poranku.

Gdy też do tatarki przychodzę,
Jako drjakwi wziąwszy odchodzę,
A jeśli w kapuście siadam,
Po listeczku tylko zjadam
Na obiad.

Gęsi, kurcząt, kurow nie trapię,
Jeśli też spię, przecie nie chrapię,
Nie ruszę źwierza czułego,
Nie zpłoszę ptaszka małego
Z krzewiny.

---

(1) *O psiech gończych i myślistwie z niemi. Krak. Andrz. Piotrkow. R. 1608. 4to. E. 3.*

W podobnym rodzaju do *Peregrinacij Maćkowéj* są:

Sakwy w których nie dla koni, ale dla ludzi tych którzy nowiny lubią, smaczne y osobliwe obroki, urobione od Cadasylana Nowohrackiego na Krempaku (4to. typ. goth. C. 2.). Są to niby listy z różnych stron pisane z osobliwszemi nowinami, w których zrzadka błyska iskra dowcipu. Na końcu pod tytułem: *Nowy świat* — jest myśl którą Żołkowski wziął do *Wyspy wszelkiéj szczęśliwości*, ale tu już tłumaczona jest jak pisze z włoskiego. Jest i droga do tego świata i na tém się kończy.

Porzućmy zresztą spleśniałe dowcipy pradziadów — oto maleńka książeczka dosyć stara i ciekawa.

De Turcarum moribus Epitome — Bartholomaeo Georgievic Peregrino autore. Lugd. Batavor. Ap. Joan. Tornesium Typogr. Reg. MDLXXVIII (1578) (16mo) z rycinkami xylograficznemi — (pp. 184.) Jest tu rozmowa po turecku jedna, druga po słowiańsku taka — na próbkę języka.

— Pomoži Bogh gospodaru?

— Dobro dossao prijateliu (dobre doszou — bene venisti).

— Jeli ouay pravi puth w Kalipolie (jestli owy prawy put').

— Ni brate, zabludiossi daleko.

— Od koiessi zemli? kazuimi? (od koje jesi ziemli, skaży mni).

— Od Vlaske zemliessam, od Benetak (Wenecij).

— Ukazi mi puth takoti Boga.

— Hodi ssamnon nieboisse nistar (chodi za mno nie boj sia niczeho).

— Jeda, koje glasse imas, kazuimi.

— Ne takomi vire, da znam providalbich ti.

— Ostać z Bogom brate, onie grad kamo gres.

— Poi z bogom i bogh te zdravo nossio.

— Hualuti imam i dobrati nots bila.

Z téj próbki pomiarkować możem, jak nam większa część podróżnych wiernie języki zwiedzonych krajów opisuje. — Co się tycze Turcij, wymienię jeszcze mało znajomą podróż jednego francuza. *Les navigations, peregrinations et voyages en la Turquie par Nicolas de Nicolay etc. En Anvers* (*avec* 60 *fig.*) *MDLXXVI* (1576) *4to.* 306 *p.*

O początkach Teatru polskiego, pisał Juszynski a Słowacki rozebrał, komedyjkę *Dziewosłąb*, nie pozostało więc nam w tym przedmiocie, tylko po nowe pomniki pójść do

rękopismów. Zaczniemy wszakże od jednéj drukowanéj komedij, która się dotąd anatomistom literackim wymknęła.

Komedya Rybałtowska nowa. Persony:
Prolog. Magister albo Klecha w giermaku.
Kantor także w giermaku z biesagami.
Dzwonnik z nasiekanym kijem.
Albertus po starożołniersku w jakiey katance.
Confederat stroyno, piorno, szabelno, ostroino.
Gospodarz z cepami po wieysku.
Gospodyni też po wieysku z motowidłem.
Dziad z siwą brodą, na kulach, oszarpano.
Baba także z iakim garnkiem na powrozku do kadzenia y z ożogiem.
Diabeł z workiem popiołu na kształt cep.

Epilog.

(Tu wyobrażona twarz skrzywiona w medaljonie, mająca zapewne uosobiszczać komedją, wyobrażeniem maski jakiéj Grecy do komedij używali, znajomych dobrze z rękopismu Watykańskiego Terencjusza i innych starożytności.)

Drukowana z poprawą R. pansk. 1615. *4to.* (typ. goth. IX. pag.) Zdaje się z samych opisów strojów, że ten rodzaj djalogu był do grania przeznaczony, jako i inne pseudo komedje np. owa na Rialta Błazna Zygmunta III.

Słowo Rybałt zdaje się odpowiadać i schodzić z wyrazem francuzkim *Ribaud* (1).

Wiersz niezły — starym zwyczajem wprowadzone chory.

W *pierwszéj* scenie czyli traktacie Magister i Kantor idą do gospodarza po kweście, od któréj on zniszczeniem i nędzą się wymawia.

W II-giéj po toż samo przychodzi Confederat do Chłopa, ale go Magister i dzwonnik łaciną bawią, i o uciskach chłopów rozprawiają, o uciskach od Konfederatów, przywodzą napaści na kobiéty, w Łami, w Wieliczce i w Lublinie na Krakowskiém Przedmieściu w gospodzie.

W III. scenie czyli traktacie Baba i Dziad przychodzą znowu do chłopa po kweście. W tejże scenie Confederata rozbrajają, ale go nadbiegłszy Albertus ratuje od pobicia. Ten Albertus jest to osoba *sine qua non* w podobnych utworach. Albertus z charakteru jest to tchórz, którego okoliczności wziąwszy za kołnierz prowadziły po wojennych wyprawach, powrócił do domu udawać junaka. Pół wieśniak, pół wojskowy, rodzaj amfibij, gaduła, pieczeniarz, z głupia frant, jest naturalnym pośrednikiem między wie-

(1) cf. *Jacob Bibliophile* (Paul Lacroix). *Le Roi des Ribauds.*

śniakiem a wojskowym. Albertus tedy ratuje Confederata, każe go przepraszać i oddać mu broń odebraną. Co gdy się stało Confederat poprzyjaźniwszy się z wybawicielem odchodzi. Potém Gospodarz każdemu z przybyłych cóś rozdaje, nie wyjmując Baby i Dziada, którym po gomółce. Dziękując za to Baba okurza chatę i wywołuje djabła, który wyleciawszy z kąta z cepami bierze ją do piekła. Kończy Epilog i chór. Wiersz wcale niespodziewanie jest znośny, prócz grubej i bezsensownej rozmowy czarownicy z djabłem. Żadnego pomysłu, węzła, peripecij nie ma, chyba zechcemy wziąść za węzeł pobicie Confederata, lecz wzięcie Baby do piekła, będące podwojonym rozwiązaniem, niszczy piérwsze. — Nie jest to komedja, ale tylko obrazek.

W tym rękopismie już XVIII wieku, znajdziemy jeszcze rodzaj podobnej *Folie*, częścią po polsku, częścią po małorusku. Tytuł jéj jest: *Bayki Kozackie z Kostyłem i Żołnierzem.* Osoby wchodzące Żyd, Kostera (od kości do grania, co się pokazuje z wiersza gdzie mówi *kostera s kostami*) i Dudko.— Jest to prosta rozmowa tych osób, podobnież bez żadnego węzła, była jednak niezawodnie grana, co się pokazuje z informacij. Między innemi, taka jest dla żyda.

Informacya dla żydowskie kromy czeo potreba ymity. Choho żydowi w kromie imity 1. korobku nosit za pleczyma z kramom, kram takiy, odna onuczka czernaia, a druhaja zełenaia. Szmatkow kożusznych albo iakohoż kolwek futra powiazanych y dwi kupki pesku y szmatok lisicy, zo try szmatki suknianyje czerwonyje y inszyie. 2. Bardaki, lulka, cybuk, puszka s tobakoiu, tiutiunu szmatok, korynia iakoi kolwek naryzaty dowhimi szmatkami, to szuszyty chocz zrył, a to czoho kolwek na nitku powiszaty, misto roznaho korynia, toy kram wieś budet w korobce, na sebe treba Barlit y sukni żydowskiie y posoch w rukach.

Kozak welit zrobit buławu sołomianuiu welikuiu chustami obszyty y oczernity y roh za poiasom na sebe nadywat kożuch albo szczokolwek. Dutce treba borodu ostryżennuju z welikimi usami, y dudu, a sukniu jakujuż kolwek, kostyry treba wielikij szabałtas a kosty chocz derewennyje welikije y siarmiahwi iakuiu kolwek.“

Z oracij na końcu umieszczonéj, pokazuje się, że ten osobliwszy djalog grany był na Zmartwychwstanie Pańskie, i to przed jakimś księdzem prałatem, bo mówi: „— kiedy nabożnie spekulujesz tajemnice Chrystusowe, y

naśladujesz pobożnemi nożynkami stopy Jego i t. d.“ — Wspomina także o widowisku w poważniéjszéj materij religijnéj z pisma S. wziętém (Mysteze).

W tym rodzaju ciekawy rękopism XVII wieku widziałem, zawierający kilka grywanych djalogów — Najznaczniéjszy z nich był:

Joachijm y Anna

Comedia o niepłodności Anny S. z Joachymem mężem iey, których w dziewięćdziesiąt latek uraczył P. Bóg potomstwem Błogosławioną Panną Maryą między czórkami Syonskiemi nigdy nie porównaną.

Personae.

1. Prologus.
2. Joachym.
3. Anna.
4. Saran sługa.
5. Bastania puella.
6. Sarx aulicus.
7. Isaphar Biskup.
8. Kukiah servus.
9. Gizera Judaeus.
10. Hotzer Judaeus.
11. Smoil Judaeus.
12. Bardey Pastor 1.
13. Misgola Pastor 2.
14. Digutry Pastor 3.
15. Angelus.
16. Epilogus.

Zaczyna się Prologus od słów:

Rzecz którą teraz na thym placzu zaczijnamij.

Co dowodzi przynajmniéj, że była przeznaczoną do grania.

Actus I. Joachym y Anna. Rozmawiają sobie o swoim smutku, że wstyd im dzieci nie mieć.

Actus II. Joachim, Saran sługa, Anna, Bastania dziewka, Sarx dworzanin. Oznajmuje Joachim że jedzie na święta do Hierusalem i sługom pilność około domu zaleca. Zostaje się sama Anna i już po mężu tęskni, Bastania ją pociesza. Potém zostawszy się Saran z Bastanią, o ubiorach kobiécych kłótnię wszczynają, w któréj Bastania Didonę i Semiramis wspomina, a niemogąc przegadać Sarana, nie wiedzieć dla czego radzi mu zostać Bernardynem (za czasów Joachima!!!) dla tego jednak zapewne że tak bardzo na stroje wyrzeka.

Actus III. Izaphar, Gizera, Kukiach, Joachim. Scena ta już jest w kościele, Izaphar Biskup gawędzi z żydami nim pójdzie do ołtarza, a chcącemu z ofiarą towarzyszyć mu Joachimowi, każe pójść precz dowodząc, że jest u Boga w niełasce, bo dzieci nie ma.

Actus IIII. Izaphar, Hotzer, Joachim, Smoil. „Tu (pisze autor) żydowskie sztuki mają być „wyrażone, jako naygrzeczniey i śpiewać mają, „potém Biskup zacznie mówić" — Jakoż mówi Izaphar rodzaj modlitwy — potém znowu autor przestrzega. „Tu kadzidło palić, kurzyć,

„barany niech wrzeszczą, żydowie amin, amin, „niechaj krzyczą.“ Potem Biskup każe się rozejść do domów, przepraszając że tak długo nabożeństwo trwało. Joachim narzeka Smoil go niby cieszy, i chcącemu iść do swoich pasterzy, przypomina że w domu żonę samą zostawił — Nakoniec dają sobie Dobranoc.

Actus V. Bardej, Mizgoła, Digudej pasterze. Joachim Cosmus, Anioł, Anna, Bastania. — Pastuchy rozmawiają na polu i witają mile przychodzącego Joachima, który im z góry prawi o powinnościach sług, zachęca do pilnowania bydła żeby szkody nie miał. Następuje Monolog Joachima po ich odéjściu, aż oto i Anioł nakoniec przychodzi i zwiastuje mu, że Anna córkę powije. Joachim powiada, że mu ta nowina jak *cukier* smakuje. I już jest razem z Anną jakby równemi nogami do domu skoczył. Tu się cieszy z żoną, każe gotować wielką ucztę, bić barany i stroić się dziewczętom na podziękowanie

Benedicite dziatki, wesoło krzyknijcie!

Woła i odchodzi. Następuje Epilogus, a w nim nauka moralna dla słuchaczy — Prosty jest układ tego widowiska, wszakże jak na wiek XVI, w którym miarkując z pisowni, ułożoném być musiało, nie jest to zupełnie

złe i mimo mnóstwa niedorzeczności i najgorszego wiersza, wymawia się przynajmniéj jednością rzeczy.

Potém są dwa *Intermedja*, w jednym *Pater, Magister et filius* wchodzący żartują sobie bardzo dziwnie przekręcając łacinę, w drugim sam jeden jest *Dworzanin*, także niebardzo zabawny. Godna uwagi że *filius*, nazywa się *Albertus*, bo to imie wszystkim z głupia frantom, pospolicie dawano, a takim właśnie jest tutaj *filius*.

Jest jeszcze podobna i tegoż samego czasu *komedja* o Abrahamie. Zaczyna się od Prologu — potém w Akcie I. rozmawia Abraham z Bogiem i Izaakiem kolejno.

Wtóry Akt. Sara, Amech dziewka, Abraham, Izaak, słudzy dwaj. Dowiaduje się Sara, że Abraham czegoś zasmucony i w drogę się wybiera, wypytuje się, on ją zbywa, aż nareście wchodzi Izaaczek z biczykiem, bo już do drogi czas. Żegnają się.

Trzeci Akt. Abraham, Izaak, Anioł. — Izaak skarży się że go nogi bolą, ojciec go pociesza, że wkrótce na miejscu staną — Zostawują sługi, a sami idą; Izaak drewka nosi i ogień na ofiarę nakłada, a gdy Abraham oznajmuje, że jego ofiarować będzie, Izaak odpowiada:

A dla Boga! Wszak Bogu offiarują kozłij ij baranij
A nie ludzie — pewniesz się oijcze osłyszał.

Narzekanie jego — ojciec wiąże ofiarę, aż oto i Anioł *Deus ex Machina* wchodzi, woła — Postój, postój! — i na tém się kończy z Epilogiem wszakże do słuchaczy.

Smutno jest zastanawiać się nad tak dziecinnemi utworami, przypomniawszy sobie, że w tym samym czasie, w którym u nas grywano *Bajki Kozackie* lub *Djalogi* o Joachimie i Abrahamie, Anglia miała już Shakspeara! Że kiedy na weselu Władysława IV grano Tragikomedją o S. Cecylij (1), *John Bull*, zachodził się od śmiechu patrząc na wielki brzuch Falstaffa i poklaskiwał jenjalnym pomysłom Calibana, Otella, Hamleta! — Tam w Anglij teatr powstał samoitnie u nas przeszedł dopiéro od obcych — to co dziś mamy nie jest z ducha i pomysłu nic a nic oryginalném, są to naśladowania tylko Woltera lub Rassyna, naśladowania Göethego, naśladowania Shakespeara! — tak jak we wszystkich prawie oddziałach pismiennictwa, same blade naśladowania. Wątpię żeby kto upatrzył oryginalność w *Barbarze* i *Wandzie*, są to przenicowane francuzczyzny,

(1) Rywocki, Wassenberg.

Mnich, *Klara*, *Aniela*, są to niemieckie dumania, echo *Rozbojników*, Szyllera i innych sztuk dwóch mistrzów niemieckiego teatru, komedje *Samolub*, *P. Nowina* i wszystkie Fredry, są bardzo miłe, na widowisku, w czytaniu, z przedmiotu narodowe, lecz sposób obrobienia ich nie ma nic odrębnego od innych, żadnego piętna oryginalności.

Na nieszczęście nie możem się nawet kiedykolwiek spodziewać w tém szczęśliwéj odmiany i musim się obcym ziarnem, wyrosłym na naszéj roli kontentować. Lecz co za nieszczęście spiknęło się na nas, że przy tylu z rzemiosła tłómaczach, przy wielu utalentowanych nawet, tego czegobyśmy najłakomsi być mogli, jeszcze po polsku nie mamy. Każdy się domyśli, że mówię o nieśmiertelnym Shakespearze, którego nasi belletryści, ledwie z imienia głosnego znają. Dali oni nam tłómaczenia Rassyna, Corneille, Woltera pisarzy których cała zaleta leży wyłącznie prawie na stylu, a tém samém czyni ich rośliną nie do przesadzenia, a żaden z nich nie pomyślał o tym jenjuszu, którego nieśmiertelne dzieła, najbezecniéj przelane w obce formy, jeszcze są wyższe od tysiąca miernych i bladych francuzszczyzn.

Mamy tego dowody.

Mówię że nie mamy Shakespeara, bo tłumaczenia, z tłumaczeń poczciwego p. Ducis są niczém — jest to perkalik trzy razy prany, na którym ani lustru, ani rysunku nieznacznó. Wolałbym z biédy ażeby tłumaczyli z Wielanda i Herdera, bo język niemiecki, bliższy angielskiego co do ducha, więcej z oryginału by nam oddał, niż francuzki, który go mimowolnie rozciąga, osłabia, enerwuje.

Przyszły, da Bóg doczekać, tłumacz Shakespeara, powinien być tak oswojony z językiem angielskim jak z swoim rodzinnym, powinien znać ducha poety, ducha jego czasu, powinien go tłómaczyć wiernie a niedosłównie, całego a jednak nie wszystko. Powinien wyrzucić zręcznie wiele bardzo, tak aby tego znać nie było i najlepiéj jeśli nie ufając sobie, poradzi się w tém Wielanda, lub przyjętego na teatrach angielskich układu, wszakże ostróżnie, aby zbytnie nie obciął drogiego klejnotu, który musi być oszlifowany, aby się świecił.

Z wielu przyczyn niezmiernie trudno byłoby nam tłómaczyć Shakespeara, bo i Niemcom spokrewnionym duchem i językiem z John Bullem, nie bardzo się to udawało. Narodowość jego, wiek w którym pisał, oddalony od nas język, wszystkoby stanęło na

zawadzie, piękności prawdziwe, piękności myśli, przeszłyby do nas, piękności podrzędne, językowe, musiałyby w przeprawie utonąć.

Naprzykład w komedij *Wesołe kobiéty Windsorskie* (Akt III. Sc. V.) Sir John Falstaff powiada.

On went he for a search, and away went y for foul cloaths. Jak potrafim przełożyć to *for* nieuwłaczając sensowi w oryginale pokrytemu?? Lub (Akt III. Sc. III.)

Lady Ford. You were best meddle with buck-wasching.

Ford. Buck? Y would, y could wash myself of the buck! Buck, buck, buck? ay buck; y warant you, buck, and of the season too, it Ihall appear.

Czasem Wieland dowcipem swoim niektóre próżne miejsca sztukował, lecz kto wié jak by się to naszemu udało? Wieland naprzykład w komedij *Dway z Werony* (Akt II. Sc. IV.)

Thurio Und wo fandet Ihr meine Thorheit aus?

Walentin In eurem Wams.

Thurio Mein Wams ist ein doppeltes Bruchstuch.

Walentin Gut; so will ich auch Euere Thorheit verdoppeln.

I zaraz Wieland ostrzega: *Jerkin* (Wams) und *doublet* (pourpoint) sind Stücke ans der Tracht des sechzehnten Jahrhunderts, deren eigentliche Benennung in unser Sprache mir unbekant ist. Die antwort des Walentin ist ein Wortspiel, wozu das Wort *doublet* dem Anlass giebt.

Ściśle biorąc, jakiegokolwiek rodzaju są te piękności czy plamy ginące w tłómaczeniu, czy w nich znać wiek, czy obyczaje, czy smak zepsuty, jak np. w drugiej scenie, pierwszego Aktu przywiedzionej sztuki między Specdem i Walentynem, której Wieland, nie mógł, nie chciał i nie żałował, że nie przełożył, lub w scenie następnéj między Julją i Lucettą, gdzie termina muzyczne tak wielką grają rolę w ich żartach, a którą również niemiecki tłómacz opuszcza, bo jéj przełożyć nie mógł — jakiekolwiek są te piękności czy plamy opuszczone, źle jest powtarzam, ściśle biorąc, jeśli je tłumacz opuszcza. Dobry tłómacz nie powinien poprawiać oryginału, ażeby nie odmienić fizjonomij autora swego, do której odznaczenia, równo piękności jak błędy wchodzą. To jednak tłómaczenie całe, charakterystyczne, byłoby nie dla ogółu, ale dla czytelników wybranych, bo ogół, nie patrzy autora ale dzie-

ła, przyczyn ukontentowania, ale skutku samego.

Sam sposób wyrażenia myśli, w przelaniu Shakespeara musiałby wielkim uledz odmianom — chcecie przykładu? dam jeden z tysiąca (*Wieczór Trzech Króli.* Act. II. Sc. I.) *Sebastiano.* „*Yam yet so near, the manners of my mother, that upon the least occasion more, mine eyes will tell tales of me.*“

Potém znowu wyrażenia odnoszące się do podań gminnych i wyłącznych narodowych zwyczajów, jeśliby chciał tłómacz przenarodowić, zrobiłby karykaturę, jeśliby opuścił, zepsułby wyobrażenie całości, zostawując jak są, od nas nie byłby zrozumiany.

Naprzykład w komedij *Wiele krzyku o jedno nic* (Akt I. Sc. I.) przełożmy te słowa Benedykta.

„Jeśli to uczynię, wolno mię będzie jak kota w flaszce powiesić i rozstrzelać.“

Któren z czytelników polskich zrozumie, nie mówię słowa, ale alluzją? — Dla czytelników nareście mogą być noty, ale na teatrze? — *Steevens* tak tłumaczy ten zwyczaj— W niektórych Hrabstwach Anglii, zamykano kota w drewnianéj flaszce pełnéj sadzy (w flaszy w jakiéj pastuchy pijać zwykli) i wieszano na linie. Ten który spuszczając się po

linie, potrafił aż na ziemię ześliznąć się, uniknąwszy tego co było w flaszce, zostawał bohaterem zgromadzenia. *Douce* dodaje, że ten zwyczaj w Kelso, w Szkocij dotąd się dochowuje i nazywa *Catin barrel.*

Albo w komedij *Wieczór Trzech Króli* (Akt I. Sc. V.) gdzie Riepel mówi — „Do djabła, dobra szubienica, od złego małżeństwa uchować może" czyż nie potrzeba tłumaczenia? *Grey* (notes an Sh. 1. p. 224) tak objaśnia — Jest zwyczaj w Hiszpanii, iż skazany na śmierć uwolniony od niej bywa, jeśli kobiéta jaka chce go mieć za męża. Znajoma jest powiastka, którą *Grey* przywodzi, że jeden występny już był na wozie kiedy kobiéta jakaś prosiła o ułaskawienie chcąc go wziąść za męża. Ale on spójrzawszy na nią, zawołał do woznicy — Ruszaj daléj!

Tak jeszcze *w Wieczorze Trzech Króli* (Akt I. Sc. 3.) wspomina Sir Tobiasz o pani Mall. Pytam się kto u nas wie o téj *Marij Frith*, znanéj pod imieniem *Mall Entpurse*, że miała być hermaphroditą i kobiétą pod wszystkiemi względami najgorszego życia. W Anglij jéj historja jak owa o Lord Mirze z przedaży kotów zbogaconym (*Whiltingthon.* cf. *Hogarth. Industrie and Icllness.*), o którym w Anglij więcéj wiedzą wszyscy

jak u nas o Twardowskim, Szafrańcu, Pszonce, i t. d.

Są miéjsca w Sakespearze których Anglicy sami, mimo najusilniéjszych i najzmudniéjszych poszukiwań, objaśnić nie mogą. Tak jeszcze w téjże komedij (*Wieczor Trz. Kr. Akt* 2. *Sc. V.*) *The Lady of the strachy, married the ycoman of the wardrobe.* Warburton, Grey, Malone, możolili się nad wyszukaniem podania, któreby się do tych słów odnosić mogło, i ledwie podobno ostatni, coś podobnego wynalazł.

Często wspominane — *the bed of Ware*, ciekawy byłbym widzieć przetłómaczoném.

Ale nareście dajmy temu pokój, długo jeszcze Shakespeare tłómaczonym nie będzie, bo ci co teraz nad nim pracują, jak wiem po angielsku nie umieją, a tłómaczyć nie z angielskiego, jestto to samo co monetę fałszować, będzie miała stempel i połysk, ale nie wagę i wartość. Księgarz dla zysku wyda jakiekolwiek tłómaczenie, rozkupią go ciekawi, a ci co nigdy za polską książkę nie wyjrzeli mogą być nawet kontenci, mnie wolno będzie smiać się; a im nierozumieć mego smiechu.

V.

PIELGRZYMKA PO STOLICACH.

Siadłem na łopatę i poleciałem.
Brukowe Wiadomości.

Jednego dnia znudziwszy się pomyślałem sobie, czemu ja nie mam wyjechać z domu — kto jeździ ten się nie nudzi — wszak prawda panie Poruczniku?

A. P. Porucznik który długo fajkę nakładał i nakoniec ją stłukł, odpowiedział mi z flegmą na to zapytanie — Nic lepszego nad podróże.

— Doświadczyłeś tego?

— O! i jak całe życie włóczyłem się po świecie. Ale wiesz WPan Dobrodziéj, dodał, z podróży najmilsza chwila jest powrót do domu.

— To nie dowodzi, żeby one same miały być bardzo roskoszne.

— Ale tyle się świata człowiek napatrzy.

— Powiedz mi jaką korzyść odniosłeś ze swoich wędrówek.

— Niesmak i rumatyzm — odpowiedział Porucznik.

— Więc ganisz podróże.

— Ja? zakrzyknął exwojskowy — gdyby mi kto dał moje młode lata i konia, zarazbym ruszył w drogę.

— A niesmak a reumatyzm?

— A nuda? zapytał Porucznik.

— Prawda, odpowiedziałem, więc bądź mi zdrów.

— Dokąd jedziesz?

— W świat.

— Prędko wrócisz?

— Nie wiem.

— Kłaniaj się znajomym.

— Pożegnaj moich.

— Bądź zdrów.

— Bądź zdrów.

Po tych słowach, siadłem na konia i pojechałem prosto do Paryża, przybyłem tam nazajutrz rano. Musieliście słyszeć nie raz, co to za miasto ten Paryż — wielkie, pełne dymu, błota i krzyku — jednakże nie całe; są tam i bardzo piękne ulice i bardzo ciche place i bardzo czyste trotoary. — Przyje-

chawszy stanąłem sobie w pięknym *Hotel-garni* i siadłem myśleć naprzód, co pójdę zobaczyć w tym tłumie rzeczy godnych widzenia. Ciężki był wybór, pociłem się też przewracając kartki *Przewodnika* i nie mogłem się zdecydować. Chodziłem, siadałem, otwierałem i rzucałem książkę wahając się, gdy odwieczny *Larose*, służący którego nająłem, wszedł na palcach do pokoju.

— Pan potrzebuje czego?

— Twojéj rady.

— Cały jestem na roskazy.

— Co jest najgodniéjszego widzenia w Paryżu?

Larose nadął się strasznie, przybrał minę ważności, dotknął palcem zmarszczonego czoła i jedną nogę naprzód wysunął.

— To będzie zależeć od pańskiego wyboru — odpowiedział mi nareście. *Kościół N. Panny*, jest jak słyszałem stawiony podobno przed stworzeniem świata, wielka starożytność! — Chwalą bardzo kopułę *S. Sulpicjusza*, ja niezmiernie uwielbiam szklanną Galerją w Orleańskim pałacu — Ach! ach! a tenże model ogromnego słonia który ma wodą wytryskać? nie jestże to rzecz ciekawa? Mamy także do widzenia śliczną Menażerją ztąd o dwa kroki — pokazują

w niéj ogromnego wilka — mam nawet bilet w kieszeni.

— Sliczniebym się spisał, pomyślałem, żebym tu przyjechawszy, poszedł oglądać wilka, jakiego nie jednego futro wisi u mnie w sieniach na kołku. Cóż daléj *Larose?*

— Możnaby pojechać obejrzeć Smętarz Ojca *La Chaise?* albo *Bursę nową*, albo *Tuilleries.*

— Albo? pytałem ciągle.

— Albo Albinosa i familją Murzynów?

— I jeszcze co?

— Wieczorem *Teatr*, *Opera* — mam kupon do loży dany mi do sprzedania.

— Zostaw go, ale cóż robić we dnie.

— Pojechać na sniadanie do *Very*, ztamtąd na przechadzkę pójść na najbliższe Bulewary, ztamtąd wrócić na obiad do *Very*— potém przyjechać odpocząć w domu. Przyniosę panu Gazety i książki z najbliższéj czytelni. Potém — potém — Teatr— opera — co pan chcesz.

— Ale tym sposobem ja nic widzieć nie będę.

— A cóż pan chce widzieć.

— Wszystko — i coś więcéj jeszcze.

— To więcéj łatwo będzie zobaczyć, odpowiedział usmiéchając się La Rose, ale

wszystko? I potrząsnął głową. Ja sam nie znam wszystkiego w Paryżu. Czy Pan ma znajomych.

— Nikogo.

— Czy Pan ma interess?

— Żadnego.

— A! rozumiem, zawołał zacierając ręce francuz, Pan przyjechałeś bawić się.

— Nie.

— Więc po cóż?

— Widzieć Paryż.

La Rose otworzył okno od ulicy i ustępując się z ukłonem, dodał: Bez znajomości będzie Pan widział go tyle, ile przez to okno— tojest dachy, mury, kopuły kościołów i tłum na ulicach.

— Powiedzże mi jak się tu robią znajomości.

— Jeśli pan masz wiele pieniędzy do stracenia, u *Very* albo *au Cadran Bleu — á l'aiguille d'or!* poznasz pan wszystkich utracjuszów dobrego tonu. Wszystkie elegantki i piękne kobiéty w Teatrze, literatów większą część w Kawiarniach. Pan Scribe, wielki mój przyjaciel, o którym musiałeś pan słyszeć bo jego Wodewille, jak mi sam mówił, grywają już w Mexyku, pan Scribe żyje w Kawiarni, zaprowadziłbym tam pana, ale

nie wiem, czyby to było szlachetnie z mojéj strony; dodał prostując się. Bo nazajutrz albo w dni kilka, jeżeli pan masz jaką śmieszność, jaki *tic*, pan Scribe mój przyjaciel posadziłby z nim pana na scenie w Teatrze *Varietés*. I miłe zdziwienie zobaczyć nagle drugiego siebie wychodzącego z za kulis. Mamy tu mnóstwo takich wielkich ludzi jak P. Scribe w Paryżu, niektórzy z nich mają kabrjolety, tilbury, a nawet *coupé*, większa część jednak piechoto chodzi. Jeśli pan spotkasz kiedy człowieka młodego, bladego, z kapeluszem na oczach, rękami w kieszeni, miną pogardliwą, to pewno jeden z tych wielkich ludzi. Nazywają ich nie wiem czy żartem czy doprawdy familją jeniuszów, jakoż są nawet trochę podobni do siebie wszyscy. Dziwacznie żyją, ubierają się, chodzą, i jak uważałem nic tak nie robią jak my. Oni są także jedną z osobliwości Paryża. Za nimi chodzić nie trzeba, tuzin na dzień zobaczysz ich przez okno.

— Brałem za kapelusz i laskę, gdy Larose ostatnich słów domawiał i kazałem mu fiakra sprowadzić.

— Dokąd Pan jedzie zapytał?

— Po mieście.

— Dobrze —Wyszedł i wkrótce usłyszałem

na dziedzincu turkot najętego pojazdu. Wyjrzałem, była to maleńka karetka parą mizernemi szkapami zaprzężona. Na koźle siedział wąsaty woźnica i zamyślony patrzał w niebo.

Zszedłem i siadłem.

— *Où voulez vous que je vous méne? mon bourgeois?*

— *Où il vous plaira mon bon ami.*

Potrząsł głową, zaciął konie woźnica i ruszył.

W jednéj chwili znalazłem się w ścisku pojazdów, ludzi, fiakrów, *coupé*, karet, koczów, tilbury, kabrioletów, diližansów, omnibus — ludzi, koni, źwierząt różnego rodzaju, krzyki, turkot, szum, huk, wrzask, pisk wszystko to razem wleciało mi tłumnie do uszu, nos otoczyły nieopisane zapachy, błota, kuchennych sosów, perfum, aptecznych mięszanin, wilgoci, kwiatów i mięsa. — Oczy utonęły w tłumie tańcujących w koło przedmiotów, bo zdawało mi się na chwilę, że kościoły, domy i mój fiakr i ja tancowaliśmy wszyscy, tak ten ciągły ruch otaczający mnie oczy moje obałamucił. Myślałem sobie będę patrzał, schwycę fizjonomią miasta, ulic — ale ta myśl zaraz za bramą skonała, bo co krok tak różnorodne spotykałem widoki i

osoby, że mi się nakoniec pomięszało w głowie jak w kaleidoskopie.

Każda ulica miała innych mieszkańców i postać, inne domy, inszego smaku kościoł, inaczéj ubranych ludzi, inne sklepy, inną wonią i głos panujący. Każda chwila znowu zmieniała te rysy ruchawe fizionomij Paryża. Woźnica musiał się śmiać z mojéj gapiowatéj miny, oglądając się na mnie, a w przechodzie to najoczywiściéj smieli się, wcale tego nie kryjąc, bo sam wyznaję, musiałem mieć minę bardzo wiéjską.

Tak jeździliśmy dobrą godzinę i ujrzałem nakoniec, żeśmy powoli wyjeżdżali z miasta. Znać to było po zmniéjszonéj ludności, ruchu, po budowie domów prościéjszéj i czémś nieopisanie wiéjskiém, rozlanym w powietrzu i otaczających nas przedmiotach.

— A dokąd to jedziemy?

— *A Montmartre.*

— Ale ja chciałem widzieć Paryż, nie okolice.

— Kopalnie w Montmartre są bardzo ciekawą rzeczą.

— Ale wkrótce czas będzie na obiad.

— Mam zawrócić?

— Inną drogą.

— Bardzo dobrze.

Jedziemy znowu, za tym razem poznałem przejeżdżając kilka budowli większych, o których nazwania nie potrzeba mi było pytać mego numerowanego *Cicerone*, przypomnienia widzianych rysunków, były na to zupełnie dostateczne. Z tego powodu zrobiłem uwagę, że kto jedzie za granicę widzieć gmachy, fabryki, zakłady, nie ludzi, obyczaje i ducha, ten mógłby mniéjszym kosztem kupić plany i widoki, i za stolikiem od kawy tyle zobaczyć ile w najdłuższéj podróży. W skutek téj uwagi powiedziałem sobie, że odtąd w Paryżu będę patrzył na ludzi, nie na kamienie, i fiakr stanął w dziedzińcu, a Larose przyjął mnie na wschodach.

— Jadł pan obiad?

— Jeszcze nie.

— Każesz pan przynieść do domu.

— Pójdę do restauratora.

— Zaprowadzę pana — Do jakiego pan chcesz?

Kiedy Larose to mówił nagle myśl mi przyszła, że tłum i wrzawa biesiadników, nie da mi uwag zrobić i jedzeniu zaszkodzi, powiedziałem więc.

— Przyniesiesz mi do mieszkania — już nie pójdę.

Po minie służącego poznałem, że wziął

mnie za wielkiego człowieka z tego dziwactwa, ruszył ramionami i pobiegł po kartę obiadową.

Przez kilka dni następnych oswajałem się powoli z Paryżem, odmiana zupełna stroju i miny nadała mi nareście pewną miejską powierzchowność, mogłem więc za jéj pomocą wcisnąć się wszędzie, niebędąc postrzeżony i wytykany palcami.

Ludność Paryża uliczną możnaby podzielić najłatwiéj na jeżdżącą swemi końmi najętemi i pieszą.

Ludność zamkniętą w domach na tyle klass, ile bywa piątr, z dodatkiem jednéj koczującéj. — W tych podziałach miéjści się niepojęta rozmaitość majątków, stanów, charakterów i twarzy, która się jak muszle i ślimaki pogatunkować żadnym sposobem nie da — są jednak niektóre postacie częściéj widywane, a te sprobuję wam opisać.

Z staroświeckim uszanowaniem, zaczynam od płci pięknéj.

Na pierwszém miéjscu stają kobiéty dobrego tonu, to jest dawnych familij i wielkiego majątku. Te mało się pokazują w mieście, chyba w swojéj loży na Operze i to chwilowo, czasem w Magazynach Mód. Resztę czasu trawią: latem w wybraném ary-

stokratyczném towarzystwie na wsi, zimą w swoich paradnych salonach, w których uprzywilejowanych gości w rozmaite dni tygodnia przyjmują. Wielkie wieczory na wzór Edimburskich *raout* pełne ścisku i pisku, dawane bywają w wielkich tylko zdarzeniach. Bogatsi wsławiają się balami, których krótkie opisanie w pismach perjodycznych stanowi rodzaj nieśmiertelności kilkodniowéj. Do gospodyni domu należy wybrać i zaprosić biletami swoje towarzystwo, do którego jeśli jest *en petit cercle* wchodzą dla zabawy *artyści* dla starszych, a *Laturnia Czarnoksięska* dla dzieci. Artysta bowiem w takim towarzystwie jest tylko osobliwością lub zabawką. Gdyby to był sam *Lafonte* lub *Herz* musi im grać kontradanse, gdyby to był *Le Brun*, *David*, *Poussin*, musi im rysować karykatury do sztambuchow. Reszta osób gra w *écarté*, *whista* lub tańcuje. Pani piérwszego tonu najczęściéj jak tylko przéjdzie lat 30, w bigoterją lub politykę się rzuca.

Po niéj następują żony Bankierów, arystokracja pieniężna, zawsze usiłująca pierwszą naśladować, zbytkowna do szaleństwa, dumna, zarozumiała, bez żadnego smaku do sztuk i literatury, ale z pretensjami do zna-

jomości i gustu. — Tych życie jest kopią piérwszego, z różnicą wszelako, iż jak do tamtych salonów urodzenie, tu wstęp dają pieniądze. — Tam można widzieć często frak trochę przetarty, przy tytule lub imieniu, tu czoło wytarte przy kieszeni która za wszystko odpowiada. — Same panie stroją się bez smaku wprawdzie, ale kosztownie nad podziw, ich pojazdy, liberja, meble, wszystko jest świeże jak imie, błyszczące jak dukat, kruche jak spekulacje na Bursie.

Drugiego rzędu arystokracja uboga po téj idzie klassie. Ona udaje pogardę dla piérwszéj arystokracij i dla pieniężnéj także, żyje po większéj części sama z sobą, bywają jednak przypadki połączenia między nimi a pieniężnemi, w których jedna strona imie, druga pieniądze niesie w posagu, jedna się uszlachca, druga bogaci.

Wszyscy téj klassy członkowie pospolicie z pogardą o pieniądzach mówią, wspominają dawne czasy, dawne swoje zamki, hrabstwa i t. d. emigracją, terroryzm... Nigdzie tyle dawnych tradycij nie można posłyszeć jak w tych domach, które po prawdzie powiedziawszy są dosyć nudne. Ponury methodyzm, sznurowana powaga, obraźliwość nadzwyczajna siedzą od progu do strychu.

Potém znowu następują drugiego rzędu niemający jeszcze miljona spekulanci, ci w takich stosunkach z poprzedzającemi, jak z piérwszemi drudzy zostają. Ton ich towarzystwa kobiécego jest nieco wolniéjszy, nie tak *dobry*, nie tak *fashionable*, chociaż tchnie niezmierną pretensią *dandyzmu* i tego właśnie, czego im brakuje. Wstęp do ich domów, bardzo łatwy, bo życzą sobie pokazać jak wiele mają znajomości, przyjaciół. Same panie stroją się i często równie kosztownie, wytwornie, jak najbogatsi, liberja jednak i pojazdy nie tak się często u nich zmienia, jak u tamtych. Artyści są mile przyjęci, ale zawsze z warunkiem bawienia gości, literaci pokazują się za osobliwość. Często przy bilecie zapraszającym dołącza się parę wierszy w których się oznajmuje, że sławny NN. będzie się stawić na wieczór, tak jakby NN. był wężem Boa, lub tygrysem do pokazywania za biletami.

Następują jeszcze mijając drobniéjsze podziały panie miéjskie, żony kupców, właściciele domów, notarjuszów, urzędników niższych i t. d.

Tych towarzystwo jest zawsze naśladowaniem któregokolwiek z wyższych, tonem niżéj o wystawę, dobry ton i smak.

Panie odsunięte od wstępu do domów klass

wyższych, umieją się im za to odpłacić ciągłém obgadywaniem, które stanowi najmilszą zabawę wieczorów. — *La Chronique scandaleuse* całego miasta i wszystkich arystokracij, tu najspieszniéj się rozchodzi, najczęściéj opowiada, i największe wzbudza oburzenie. — Wszyscy bywają w domach téj klassy średniéj, prócz kobiét kulawéj reputacij, które się całkiem nieprzyjmują, bo w modzie jest narzekać jak najuroczyściéj na zepsucie obyczajów, wcale się tém nie obowiązując do nadto skrupulatnego rodzaju życia. Kobiéty *zamężne* jak tylko są *zamężne* już są w tych domach przyjęte, nie patrząc co tam dawniéj było — wszak i święci grzeszyli.

Prawdziwe mieszczanki, żony rzemieślników, kupczyków stanowią szczebel przedostatni, wesołe kobióty, wielomówne, zawsze jednak z pretensiami do jakiegoś tonu.

Ominąłem jednak wielką jedną klassę kobiét, które nie wiem jak nazwać w naszym języku.

Żyją one wystawnie, bogato, z sobą tylko się kommunikują, i nudzą się mimo zabaw, zbytków, strojów. U nich wszelkiego stanu zbierają się mężczyzni młodzi; ton towarzystwa po większéj części jest taki jaki był

jeszcze za pseudofilozoficznych Wolterowskich czasów. Śmieją się z *convenansów*; z bigoterij, z sentymentalizmu zdaleka, z towarzyskich praw, uwielbiają narody dzikie, jak to było w modzie w XVIII wieku i co najgodniéjsza uwagi wszystko to robią rutyną, bez przekonania, stosując się zasadami do życia, a chcąc przez to pokazać, że życie stosują do zasad. Najzapalczywsza gra w takich domach się spotyka — jedną z cech kobiét téj klassy jest powierzchowne uszanowanie dla nauk literatury i artystów, chociaż ci ostatni, jako po większéj części ubodzy nie bywają tutaj, nie mogąc się wcisnąć, tam gdzie rekomendacja złota wprowadza tłumy bankierów, bogaczów, dyplomatyków. — Te kobiéty bezimienne zostają zwykle na koszcie jednego z tych panów, są i inne mniej bogate, zazdroszczące serdecznie piérwszym, których *in votis* stanowi szal Indyjski, potém pojazd, potém wszystkie wymysły zbytku. Wszystkie prawie kończą okropną nędzą, lub na urzędzie otwierania loż (*ouvreuse des Loges*) w których przedtém siadywały w perłach i djamentach.

O Gryzetkach nie śmiém nic mówić, są to najweselsze w Paryżu istoty, w dzień pracują po magazynach, wieczorem tańcują

lub sentymentalną prowadzą rozmowę z uczniami Medycyny, zawsze w ustach mają jakiś przysmaczek i żart, w ręku robótkę, w oczach pustotę i uśmiech obojętny na przyszłość.

O reszcie zamilczę.

Teraz mężczyzni — ci naturalnie dzielą się na tyle klass ile kobiéty, z tą różnicą, że się bardziéj mięszają, nie tak wyłącznie *swoich* pilnują.

Widzisz ten tilbury tak świeży, jak tylko co zerwany owoc z drzewa, w nim rozparty, w pół leżący waha się, kołysze, uśmiechający bogacz, który po czokoladzie jedzie w rannym stroju na Bursę. — Dobre nowiny widać na jego czole, z pojazdu rzuca znajomym mijającym się z nim przywitania, zaproszenia do *Very* lub innego restauranta, zapytania, a to głośno, tonem któremu pewności, lub drżenia, dodają okoliczności Bursowe.

Ten drugi w kabriolecie wyprostowany, który niespokojnie patrzy na zegarek, jest to aspirant do milionów, uśmiech jego już przyszłego zapowiada bogacza.

Ten staruszek z krzyżykiem u fraka, za którym idzie galonowany lokaj ziewając, mierzy prosto na bulewary ogrzać się na słońcu,

powzdychać z dwóma przyjaciółmi nad dawnemi czasami, zregulować zegarek i kupić tabaki, której codzienną świeżą prowizją sam sobie zwykł przynosić. Pamięta on dobrze 94 rok i trzy razy na dzień opisuje posłuchanie swoje w gabinecie Robespierra, węzeł u chustki S. Justa i plamy na twarzy Marata i policzek ściętéj głowie jego zabojczyni.

I znowu Kabriolet — leci, pędzi, w nim dwóch młodych przyjaciół, — jadą na śniadanie do nieporównanéj Henrietty, która się śmieje z nich obu. Oba pochlebiają sobie, że ich kocha, oba wiozą jéj dary, od obu przyjmuje ona i z obu się śmieje. Jest tam żółty Nabab zaschły jak mumja, którego ona więcéj szacuje, nad ich wszystkich, bo Nabab, dał jéj już cztéry szale!!. Młodzi kryją niby przed sobą swoje szczęście, lecz jedno słowo przypadkowe, wyprowadza cały rój zwierzeń, które dowodzić mają, że Henrietta ich kocha, a dowodzą tylko że ich zwodzi. Cztéry szale więcéj warte od dwóch kochanków, jest to matematyczna prawda.

Widzicie jeszcze tę postać otyłą w tabaczkowym fraku, brudnych rękawiczkach, z kosémi oczyma i ogromnémi dźwizkami na brzuchu, jest to pasorzyt mieszczanin (burgeois

parasite). Idzie i zagląda w okna, kłania się znajomym, potém z nowinami, których ma pełną gębę, leci, gada—gada—aż dają do stołu, je obiad, kłania się, wychodzi, i tak daléj, jego kieszenie są składem najosobliwszym encyklopedycznym, nót, perfum, piosneczek, starych gazet, deseni, szpilek i wszystkiego, czém się można damom przysłużyć. Z jednego domu wynosi on po większéj części, to co w drugim szafuje. Jego majątek, urodzenie, zatrudnienia, mieszka—nie są nierozwiązaną zagadką.

Patrz jeszcze, oto jedzie godna oryginału. kopja Don Juana, blady, znudzony, kaszlący, patrzy tylko na kobiéty, które na niego nie patrzą, myśli o nich tylko, żyje niemi, kocha je i zdradza, pieści i obmawia, przysięga na wieczną miłość, jak stary romans, a śmieje się z niéj jak stary Kawaler. Poleciał za gryzetką—potém pojedzie do tancerki, do Hrabinéj N, do panny N, o którą się stara, do staréj Vicomtessy N, która mu pożycza pieniędzy, do biednéj N, żeby dla jéj udręczenia smiać się z miłości i przysiąg.

Ale nić jeszcze nie mówiłem o Artystach i Literatach Paryzkich. Dwie klassy jest tych i drugich — sławni i szukający sławy.

Piérwsza spoczywa już na swojéj sławie,

księgarze płacą, dyrektorowie teatrów płacą, wszyscy im płacą pieniędzmi i pochwałami, oni jakby się do szczytu dobili, biorą pieniądze i pochwały obojętnie, tracą złoto, trwonią sławę, nic nie robią lub robią niedbale, od niechcenia, jak z łaski, i krzyczą na świat który ich nie rozumié, nie pojmuje, nie ceni.

Drudzy z zazdrością patrzą na pierwszych, pokornie kłaniają się wszystkim, chodzą w sukni wytartéj, szanują księgarzy, wielbią publiczność, gardzą pieniędzmi a żądają ich skrycie. Ci w czasie swego nowicyatu, piszą, malują z zapałem, z natchnienia, z powołania, cierpienia moralne, niedostatki, udręczenia, rozwijają w nich jeniusz, jak targanie sznurka, pomaga latawcowi do wzniesienia się. — Gdy jeden z takich przychodzi do księgarza, on go mierzy od stop do głowy, dwóma palcami bierze rękopism, rozwija, zażywa tabakę—obojętnie kładzie na stoliku i prosi o zostawienie go.

Autor wychodzi, wybiega, wylatuje na skrzydłach nadziei, we dnie marzy o sławie i pieniądzach, w nocy śnią mu się bale, oklaski na teatrze, uśmiéchy kobiét — całe rojone szczęście.

Na dzień, na godzinę, na minutę wyznaczoną, stawi się nasz autor do księgarza, je-

śli ten za poradą czyją odrzuca pismo, robi to zimno, ale grzecznie, wymawia się, bierze laskę i kapelusz, żeby prędzéj wyprawić natręta — i zabija na długo sny i nadzieje.

Jeśli przyjmuje pismo — prosi siedzieć — potém idzie po rękopis, wraca przerzucając go, siada i milczy.

— Pan to chce sprzedać?

— Życzyłbym sobie.

— Jest wiele życia w tém piśmie — ale niewprawność — nazwisko mało znajome.

— Pan tego nie życzy sobie nabywać? —

— I owszem, ale —

— Cóż?

— Potrzebuje wiele odmian — poznaczyłem je tutaj czerwonym ołówkiem.

I już o swój drogi rękopis niespokojny autor, chwyta go, wydziéra, wlepia oczy w czerwone rysy ołówka i znajduje naprzód podkréślony tytuł.

— Tytuł!

— Zdaje mi się niestosowny. Niech pan o tém pomyśli i raczy mnie odwiedzić, w téj chwili tak jestem zatrudniony.

To znaczy — idź sobie — jakoż zmartwiony pisarz odchodzi, martwi się, rospacza, nazajutrz poprawia, bo nie ma grosza w kieszeni — niesie pozajutro.

Księgarz przyjmuje go zimno, kwaśno.

— A! to ten rękopism! woła z przekąsem.

— Tak jest — poprawny, według życzenia.

— Będę go drukował. — Co się tycze honorariów, zobaczym po rozkupieniu pierwszéj edycyi.

— Lecz ja —

— To panu niedogodne? — zostawiam do woli — istotnie zawalony jestem rękopismami — Najniższy sługa.

Otoż wychodzi autor zmartwiony znowu, idzie do drugiego, trzeciego, każdy każe mu poprawiać, każdy go potém niczém zbywa. W tym przeciągu czasu, biedny nieznajomy, pisze za kilka franków artykuły do Magazynów, *Revues*, gazet, śpiewki do Wodewillów, wszystko dla chleba, i chcąc przecie ujrzeć swoje drogie dzieło drukowaném, wraca do pierwszego z księgarzy, oddaje mu je darmo. Ale już wówczas P. Księgarz go nie bierze. Po wielu nareszcie zmartwieniach i zabiegach, które mu część życia zjadły, drukuje swoje najukochańsze dziecię, gazeciarze wyśmiewają je, dla zapchania miejsca w swoich pismach, i na tém się kończy urojona sława. A jak powiada Bulwer, młody pisarz żeni się ze swoją kuzynką i na wsi osiada, jeśli ma

gdzie osiąść, jeśli nie, — ginie powoli z nędzy, zmartwień i zawiedzionych nadziei.

Tegom to się wszystkiego napatrzył w Paryżu, więcéj niż Bursy, gmachów, mostów, widowisk teatralnych i Kościoła N. Panny, który P. Hugo tak dobrze opisał, że tego opisania zrozumieć nie można. — *A propos* tego romansu, mam sobie za obowiązek sumnienia zrobić uwagę, że jedna z głównych figur *Quasimodo*, jest kopią Shakespearowego *Palibana* (w Burzy, którą uważają za najpierwsze jego dzieło.)

Nakoniec zacząłem się nudzić w Paryżu, tak, że nawet plotki i nowiny mego *Larose*, który jak Figaro wszystko wiedział, zabawić mię nie mogły. Jednego wieczora wybrałem się w drogę i stanąłem na noc w Konstantynopolu.

Było już tak pożno, żem się ledwie do jakiejś gospody, na przedmieściu *Pera* dostukał. Otworzył mi stróż spiący i zły, tak, że mię nawet koniecznym *Salem alejkam* od ziemi nie przywitał. W wielkiéj izbie, do któréj mnie i mój tłómoczek zaprowadził, spali pokotem kupcy Europejscy, kilku ubogich handlarzy krajowców i kupa towarów leżała w kącie. Duszno było jak w pieklę, chociaż kamienna podłoga, osłonione i małe

okna w dzień na nocny zapas, nie powinny były dopuścić upału. — Rad nie rad, musiałem się głodny położyć i ledwie kwadrans spałem z całéj nocy.

Nazajutrz rano jakoś mi się dziwno zdawało, że cicho było na ulicach, wszyscy posuwiście chodzili milczący, nikt mnie nie zaczepiał, *Larose* nie paplał — i sam nie wiedziałem co robić.

— Muszą jednak być rzeczy godne widzenia w starożytném Bizancjum, pomyślałem, lecz kogo by się rozpytać? Kto mnie poprowadzi—fiakrów nié ma w Stambule. Z dobrą wiarą Europejską oddałem mój tłómoczek do pilnowania słudze, a sam na losy się zdawszy, wyszedłem.

Ulica była szeroka i pusta — mur otaczał ją z obustron i pozamykane drzwi domów i ani jednego okna. Środkiem cicho szli Turcy, niektórzy rozmawiali z sobą, szli żydzi w odznaczających się ubiorach z odznaczającą się twarzą — szło kilku Europejczyków, tak nieukontentowanych jak ja — szły obładowane wielbłądy z obdartemi swemi przewodnikami. Przemykały się niewolnice Turczynki, ciężkie, otyłe, zawinięte w zasłony po same oczy. Przyszedłem na Bazar, zobaczyłem kupę towarów, kupę ludzi i nic

więcéj. Poszedłem daléj do portu, słyszałem całe życie, że to jest najpiękniejszy port w świecie. Widziałem wodę tylko i okręta — a to nie żadna osobliwość. Poszedłem do Meczetu sławnego, który był niegdyś Kościołem św. Zofii, zobaczyłem bryłę kamieni i stado wieżyczek — wracałem nieukontentowany — i czułem, że mi się strasznie jeść chciało — a z całego obrazu Konstantynopola, zostały mi się tylko wielbłądy, których chód ciężki czułem na mojéj głowie. Zdawało mi się, że jeden z nich obrał sobie stajnię w moim mózgu.

Niewiém już po czém i jakim sposobem poznałem kawiarnię, i wszedłem do niéj. Brudno było i cicho jak w pustéj oborze. Kilku Turków piło Kawę w małych filiżaneczkach i paliło brzydki tytuń, bo i w tym kraju nie wszyscy dobry tytuń palą — a dym, który mnie otaczał, podobniejszy był do spalonych liści jakiegoś ziela — niż do tytuniu, wprawdzie ci co go palili, chociaż bardzo poważnie założone mieli nogi na dywanie, dosyć obszarpane suknie na grzbietach nosili. Nie pytając się mnie chłopiec mały, przyniósł mi Kawy niby to po naszemu zrobionéj, tęgiéj jak extrakt, gorzkiéj jak Kubeba, gorącéj jak sam ogień i dosyć gęstéj, ale je-

dnak zasłodzonéj i niby przecedzonéj. Podał mi także cybuch: a nie mogąc się rozmówić z nim o lepszy tytuń, i ten przyjąć musiałem. Wszyscy milczeli i ja — zacząłem drzymać z głodu i znużenia, pod wpływem usypiających dymów.

Straszne były marzenia moje, jakbym je przez czarnoxięską moc opium sprowadził, snił mi się meczet Sułtana Achmeta, turbany, morze, pełne czarnéj kawy, i ulice pełne dymu tytuniowego — głowę moją deptały wielbłądy, na piersiach leżały paki towarów, wszystkie przedmioty które się przez dzień przed mémi oczyma przesunęły, przyszły mię dręczyć we śnie. Obudziłem się, gdy towarzysze moi Turcy czynili ablucje i wychodzili z kawiarni. Jeden z nich tylko siedział jeszcze nad fajką i przez kłęby dymu widziałem chłopca posługacza, który mi patrzał w oczy, jakby wyglądał mego przebudzenia. Myślałem jak trafić do gospody? po nocy, bo zmrok już zapadał? nieznając nic a nic miasta i ślepo się w nim na przypadek kierując — zapłaciłem, i powoli, jakby mi te myśli kajdany włożyły na nogi, wychodziłem z kawiarni. Turek powstał także, zapłacił i brał się do drzwi, tak, że razem wyszliśmy na ulicę. Poszedłem na los,

prosto przed siebie — Turek ślad w ślad coraz się ku mnie zbliżając, ścigał mnie — przyznam się po prawdzie, że mnie to trochę niespokojnym uczyniło. Lecz chwila rozwagi odpędziła bojaźń — odbierze mi życie, myślałem — cóż ono warto?

I szedłem, a Turek za mną. W jedném miejscu rozdzielały się dwie szerokie ulice — Księżyc świecił — psy wyły — gdzieniegdzie przesuwały się mgliste postacie ubogich, wysokie, groźne, przypomniały mi się wszystkie pacierze, jakie mnie od kolebki uczono. W téj chwili Turek zbliżył się do mnie, tak, że uczułem szeroki jego kaftana rękaw na mojéj sukni — odskoczyłem — on po cichu, zepsutą francuzczyzną, słabym głosem zapytał mnie.

— Czy nie jesteś francuz?

— Nie — odpowiedziałem, ale jadę z Francyi.

— Czoło jego wyjaśniło się, zdawało mi się żem widział łzy w oku, złożył ręce i zapytał.

— Nie powiesz mi co o Francyi!

Zdziwiony tém żądaniem, wahałem się.

— Dokąd idziesz? zapytał cicho.

— Do gospody w Pera.

— Tą stroną.

— Nie wiém drogi.

— Gospoda zamknięta, pozno już — rzekł błagającym tonem, pójdź i przenocuj u mnie — powiesz mi co o Francyi.

Przelękniony, nie wiedząc co robić z sobą, dałem się Turkowi poprowadzić jak dziecię. Nie wiém dla czego milczał, a jeśli mówił to bardzo po cichu. Po wielu zakrętach, doszliśmy nakoniec do jednych drzwi, przy których się zatrzymał i stuknął trzy razy. Stara niewolnica czarna przyszła nam mrucząc otworzyć i za nami zaraz wchód ogromnym drągiem założyła znowu. Turek chwyciwszy mnie za rękę, prowadził przez ciasny dziedzińczyk do domu, powiedziawszy cóś wprzód słudze.

Weszliśmy do izby chłodnéj i ciemnéj, a gospodarz zawsze zepsutą francuzczyzną prosił mnie, żebym chwilę na niego poczekał i sam wyszedł. Rożne myśli roiły mi się przez krótką chwilę jego niebytności. Ujrzałem nareszcie światło przez matę zawieszoną we drzwiach wewnątrz domu prowadzących i wszedł ón, a za nim niewolnica ze światłem; — usiadł przy mnie, ścisnął mię za rękę i westchnął.

— Jestem Francuz, rzekł potém, lat już dwadzieścia temu, jak kraj mój opuściłem. Uciekłem z domu dla różnych przykrości,

których od macochy i ojca doznawałem. Długo by było opowiadać ci przypadki, jakie mnie tu przyprowadziły — utrudziłbym cię próżno malowaniem moich boleści, tęsknoty za krajem, żalu po swoich. Niéma i jednego Francuza w Konstantynopolu, któregobym z kolei nie pytał nikt mi nie dał z Montauban wiadomości. Może ty mi co powiesz?

— Cudzoziemiec jestem i nie byłem w téj stronie.

— Ale wracasz z Francyi?

— Z Paryża.

— Widziałeś Francją! szczęśliwy — widziałeś prawdziwy świat, nie to piekło Tureckie. O! zawołał, gdybyś wiedział, jak ciężko jest pokutować, za chwilę obłąkania! Mniejsza o nędzę, — niedostatki, chorobę, — ale tu! tu, dodał pokazując na serce, tu ja noszę najstraszniejsze męczarnie.

— Chcesz wrócić?

— Wrócić do grobów — wrócić, żeby mnie nie zrozumieli, nie poznali, odepchnęli. — Ach! gdybym mógł powrócić i znaleść swoich — poszedłbym żebrząc do Francyi — z tego przeklętego kraju. Dzień i noc widzę przed oczyma mojemi nasz domek za miastem, i cichy ogródek z ławką pod Kasztanem! —

Twarz jego przybrała wyraz smętny, ro-

spacz przeglądała przez oczy. Ja tam może nigdy nie będę, zginę między obcemi!— Żebym mógł tylko raz widzieć jeszcze te same miejsca, i choć jedną dawną znajomość, dałbym za to resztę życia.

Potém chodził, poruszony wywołanemi wspomnieniami — odwrócił się i zapytał mnie.

— Chcesz jeść.

— Cały dzień nic w ustach nie miałem.

Poprowadził mnie znowu i po kilku izbach, weszliśmy do jednéj ciasnéj, małéj bez okna. Tu postawił światła i ujrzałem, że ozdobiona była po europejsku — znalazłem krzesło, kanapę, stolik.

Na ścianie wisiał w ramkach czarny, mały obrazek jakiś, szczątki sukni, pistolet. — Na stoliku leżała książka obszarpana i brudna. — „Tu ja się dręczę sam jeden, rzekł gospodarz po chwili, dręczę się wspominając o tych szczęśliwych, którzy w naszéj Francii, między naszemi żyją. — Mój Boże! mój kraju, ciężko pokutuję, żem was porzucił. — Tam, tam, chciałbym rolę orać, chciałbym być do galer przykuty, byle tam — bylem mógł widzieć jeszcze, te najdroższe miejsca, na których się zostały moje lata dziecinne, gdzie była matka moja. — Popłakałbym i na grobie ojca, który mnie z domu wypędził—

jam mu dawno moje nieszczęście przebaczył.

Niewolnica weszła i wniosła na pułmisku ryż z baraniną, jakieś kluski, pieczyste i butelkę. Porwałem się zapalczywie do jedzenia — gospodarz niczego nie tknął.

— Tu człowieka nie rozumieją, głupcy brodate, nadęci swoją urojoną ważnością, pogardzają Europejczykiem, im się zdaje, że oni jedni z całego świata mają rozum i żyją, jak powinni. Jest to piekielna męczarnia, siedzieć otoczonemu temi bydlętami, których harem, fajka i kawa, składają całe szczęście, całą rozmowę, całe życie. Wyobrazić sobie do jakiego stopnia żadna myśl naszego świata nie może bydź od nich zrozumiana, prawie niepodobna.

— Powiedz że mi, przerwałem najadłszy się: Dla czego w tym kraju, w którym kropla przemysłu i rozumu, może zrobić majątek, ty jesteś tak ubogi.

— Nie jestem ubogi, odpowiedział renegat, ale muszę udawać ubóstwo, żeby mnie nie odarli. Każdy, ktoby się spodziewał, że po mnie wezmie pieniądze, mógłby mnie zgubić, oskarżyć, znieść się z sędziami, narzucić potwarze, dowieść ich i wypędzić mnie z własnego domu. Muszę udawać ubogiego.....

To mówiąc, rzucił się na kanapę, a mnie

coraz bardziéj w oczach ćmić się zaczęło i uczułem sen siadający mi lekko na powiekach. Nie słyszałem, czy mówił i co mówił więcéj.

Musiało być jeszcze bardzo rano, kiedym uczuł, jak mój gospodarz ciągnął mnie za rękę, żeby przebudzić. Słychać było w oddaleniu, jak Muezzin piszczącym głosem wołał na ranną modlitwę.

— Oto masz Kawę i fajkę, rzekł gospodarz, na chwilę wyjdę tylko, a potém odprowadzę cię do Pera.

W kwadrans powrócił i wyszliśmy oba na ulicę.

— W jakiej stoisz gospodzie? zapytał.

— Niewiém, odpowiedziałem: — w jednéj z pierwszych od wjazdu.

— Poznasz ją?

— Niewiem.

— Probuj — Przechodziliśmy koło gospód, ale wszystkie tak były do siebie podobne, żem nie wiedział do któréj wejść. Spostrzegłem nareszcie sługę, któremu oddałem mego konia i tłumoczek i zbliżyłem się do niego, pokazując mu, aby mi wydał moje rzeczy. Turek wytrzeszczył oczy, ruszył ramionami i uciekł. Opowiedziałem to zdarzenie renegatowi.

— Czy miałeś świadków? zapytał.

— Nikogo.

— Więc próżnobyś się dopominał — kup innego konia i jedź z tego przeklętego miasta.

Z pomocą renegata, dostałem konia i już dłużéj nie czekając, pomyślawszy, że ciekawszy i weselszy musi bydź Madryt i Hiszpanija — Pojechałem prosto do Hiszpanii.

Przybyłem wieczorem do Madrytu, była to niedziela; większa część ludności modliła się na nieszporach i miasto wydało mi się puste.

Upał dojmował jeszcze, bo słońce nie było zaszło. Słyszałem śpiewy w Kościołach — po ulicach; zrzadka przemykała się *Maja* spóźniona do Kościoła, nadęty *Hidalgo*, którego interess wygnał z domu. Ksiądz zakapturzony, lub cudzoziemiec, którego po niezgrabném noszeniu płaszcza łatwo poznać można. Przypadkiem trafiłem do zajezdnego domu i w osłonionéj matami izdebce, upadłem na łóżko odpocząć.

Drzémiąc poznałem po szumie na ulicach, chwilę, w któréj zaczęto z Kościołów wychodzić, pod oknem słychać było przechodzące rozmowy, czasem śmiech suchy, krótki, urywany. Potém naokoło zabrzmiały gi-

tary, których oddalone dzwięki, otaczały mnie jak brzęczenia nocne komorów, do niektórych mięszały się głosy śpiewów. Nie wyszedłem jednak na ulicę, bo byłem tak drogą znużony, że długo za najwyższe szczęście uważałem, chwilę odpoczynku wyciągnąwszy się na improwizowaném łóżku.

Ciemno było, gdy mię wejście służącéj obudziło, przyszła ona polać podłogę dla chłodu i podnieść maty okien dla wpuszczenia świeżego powietrza. Wówczas usłyszałem wpadający z ulicy szmer oddalonych rozmów i stąpania, podniosłem się i ujrzałem mnóstwo ludzi snujących się.

— Zapytałem, czego wyszli tak pożno?

— Na przechadzkę, odpowiedziała mi służąca.

— Dokąd?

— Na *Prado* i *Puerta del Sol*.

Ciekawy poznać hiszpanów, wyszedłem i ja natychmiast, rozpytawszy się o drogę, na *Prado*.

Znalazłem plac niezbyt wielki, a na nim gęsto różnego rodzaju osób płci obojéj. Księżyc świecił, atmosfera była swieża, wieczór roskoszny, uczułem, dla czego mieszkańcy Madrytu wychodzili w nocy na przechadzkę.

Mimo mnóstwa osób, nie było wrzawy, tylko szmer głuchy i ciche rozmowy, wierzchołki zapalone cigarów, świeciły jak czerwone gwiazdki w oddaleniu, a z pod szerokich kapeluszów, połyskiwały czarne oczy hiszpanów. Kobiéty wydały mi się zachwycające, maleńkie ich nożki, krótki ubior, powiewne zasłony i oczy, oczy, oczy, z których w każdém dziesięć tysięcy dusz zdawało się przemawiać językiem nieba, wszystko to odurzyło mnie, tak, żem chwilę żałował, żem się w tym kraju gorącym miłości i prostoty nie urodził.

Jeśli kto ma ochotę kochać się szalenie, być kochanym do śmierci z tym zapałem, który się zdaje tylko marzeniem młodéj duszy nienasyconéj, niech jedzie do Hiszpanii. Oczy kobiét zdają się mówić — *A hora y siempre! Siempre* którego gdzieindziéj próżnobyś szukał w oczach kobiéty, *Siempre*, którym Hiszpan miłość równo i zemstę uzbraja.

Przechadzałem się tak z pół godziny, zazdroszcząc wszystkim, którzy na téj ponuréj przechadzce, nie sami jedni mogli podwójną parą oczu pielgrzymować po wypogodzoném niebie i dwóma duszami czuć roskosz spokojnego dumania i dwóma sercami przeżyć

tę chwilę, którą ja, tém bardziéj sam jeden że obcy, smutno wytęskniłem.

Zadzwoniono na *Angelus* — wszyscy uklękli modlić się i ja z niémi, żeby nie być sam jeden, choć w tym jednym momencie. Potém niektórzy sunęli się do Teatru i ja znowu za niémi.

Po chwili znaleźliśmy się wszyscy w sali, łojowemi świeczkami skąpo oświeconéj, wśród któréj stały ławki, naokoło były loże, a w nich kobiéty, te same kobiéty z Prado, te same oczy, które mi siadły w duszy. Przed nami unosiła się podarta i wysłużona zasłona, zakrywająca jeszcze scenę, za którą długie stukanie młotkami, zapowiadało staranne jéj ubieranie. Koło mnie siedzieli poważnie krajowcy z cygarami nieodstępnemi, i nieodstępną od nich atmosferą zapachów czostku i cébuli, która mi żydów naszych niezmiernie boleśnie przypominała.

Trzy razy zastukano, i zasłona podniosła się, za pomocą dwóch chłopaków, którzy ją zwijać zaczęli dosyć niezgrabnie. Dyrektor Teatru, który musiał jeszcze oglądać, czy wszystko było w porządku, zszedł powoli ze sceny za kulissy, po zdjęciu zasłony.

Zaczęła się sztuka nareszcie, od rozmowy między Rycerzem z Donquichottowych cza-

sów w papierowéj zbroi, a kobiétą, która siedziała w oknie. On przysięgał jéj że ją kocha na wszystkich świętych i na Jowisza, ona patrzała na niego w milczeniu, potém znikła z okna, pokazała się we drzwiach i poszła z nim razem. W ówczas z za krzaku wyszedł z jednéj strony mnich, a z drugiéj strony mąż téj pani.

— Czy nie widziałeś mojéj żony? —

— Tylko co tu była.

— Sama?

— Z kimś jeszcze.

— Męszczyzną?

— Młodym.

— Gdzie oni są?

— Poszli.

— Razem?

— W tamtą stronę.

I mąż leci w pogoń na pięć minut, powraca zadyszany, wszyscy dają oklaski, kochankowie uciekli. Niewiedzieć zkąd, dla czego i po co, z za kuliss wybiegają Tancerki, zaczyna się Fandango, Bolero, piosneczki, oklaski, widzowie łączą swoje głosy z lożami i piérwszy akt się kończy.

W drugim akcie znajdujem czułą parę uciekającą przez las, napadają ich zbójcy, porywają Donnę Eleonorę, nadbiega mąż, po-

znaje niewiem jakiém przeczuciem porywcę swojéj żony i zaczyna się pojedynek, płaszcze są zatoczone na ręce, sztylety błyszczą, walka śmiertelna się zaczyna. W téj chwili sala teatralna ściemnia się, bo świéce pokryte długiemi knotami gasną powoli, a reszta ich chorowitego światła ledwie pierwsze otaczające je kłęby dymu przebić może.

— Światła, światła! wołają wszyscy — W tak decydującym momencie, scena i aktorowie zupełnie giną z oczu — Światła! — Słudzy krzątają się, i widzim tych samych dwóch przeciwników pojedynkowych, zapalających nowe świéce. Potém wszystko się uspokaja i pojedynek zaczyna się znowu. — Naśladowanie bitwy na sztylety jest wyborne, bo każdy hiszpan umié tą bronią dokazywać cudów i razem zwiniętym około lewéj ręki płaszczem, zasłaniać się od razów przeciwnika. W téj chwili z za drzewa pokazuje się djabeł — oklaski na parterze, matrony w ložach żegnają się i całują wielki palec, co jest wielkiego nabożeństwa znakiem; śmielsi przypatrują się djabłowi, jakby go brawowali. Djabeł popycha kochanka na męża, mąż pada zabity, a zabójca ucieka. I znowu zaczynają się tańce na scenie, arlekin, poliszynel śmieszą grubemi żartami pu-

bliczność dostojną, wywracają koziołka, skaczą, śpiéwają — aż do Aktu Trzeciego.

W trzecim akcie Donna Eleonora, którą niewiedzieć na co zbójcy porwali, niewiedzieć jakim sposobem powraca do domu, znajdujem ją z Księdzem pierwszego aktu, który jéj prawi długie Kazanie, słuchane z uszanowaniem pobożném od loż i parteru — Potém Mnich wychodzi, a drugiémi drzwiami wchodzi kochanek — następuje czuła rozmowa, w któréj Donna Eleonora powiada mu, że chociaż go kocha nad życie, musi jednak zamknąć się w Klasztorze, ponieważ on zabił jéj męża (zkąd o tém wié?) ku któremu czuła także wielki szacunek i wdzięczność — po czém wychodzi okryta zasłoną, a przez górę, dół i boki sceny, wpadają djabli, tańcują Bolero i porywają kochanka w papiérowych kajdanach do piekła.

Nakoniec Arlekin z całą swoją rodziną, występują jeszcze, świéce gasną i wszyscy się z Teatru rozchodzą.

I ja wycisnąłem się z tłumem, usiłując jakkolwiek trafić do domu. Chociaż późna noc była, mnóstwo jednak kobiet i męszczyzn przemykało się ulicami, brzmiały gitary, rozchodziły się zapachy kwiatów z tarasów i balkonów, wszystko żyło jeszcze, tém cichém,

tajemniczém życiem nocném, którego północne kraje nasze nie znają.

Żal mi było kłaść się spać, tak piękna, poetyczna noc Hiszpańska opanowała mnie i oczarowała.

Nazajutrz chodziłem patrzyć Eskuriału, obszedłem Kościoły, kąpałem się w Manzanaressie, jadłem pomarańcze, piłem Xeres wyborny i sprzeczałem się pół dnia z gospodarzem, o nogę jednego krzesła, któréj mu brakowało.

Następnego dnia kupiłem na gościńce do domu, dwa rożańce z pestek oliwnych i szkaplerz, sobie pudełko havańskich cygarrów i sztylet.

W piątek ziewałem, bardzo było gorąco.

W Sobotę widziałem walkę Byków, na któréj mało mnie nie uduszono.

W Niedzielę w Kościele S. Franciszka słuchałem Kazania fantastycznego, ojca Tomasso — i zakochałem się w przejeżdżającéj nieznajoméj, tak, żem za nią obiegał całe miasto.

W Poniedziałek dostałem pod imieniem nieznajoméj *rendez-vous* w jakimś ogródku, gdzie mnie okradziono, wieczorem wyjechałem do Berlina, przeklinając oczy hiszpanek i złodziejów.

We Wtorek stanąłem w Berlinie pod *Złotym orłem*, jadłem fasolę i sztukamięs, piłem kawę, która mi przypomniała Konstantynopol.

Wszystko tu było zupełnie inne, jak gdzieindziéj, ciche, prozaiczne, niemieckie, w każdym kroku słychać było pieniądze, wszędzie trzeba było płacić, otaczający Niemcy, zimni, otyli, ucywilizowani, rozumni, czytali gazety, kiwali głową i palili fajki.

W Kawiarniach słychać było piwo i Knaster, każdy pan miał z sobą sługę, pudla, który przychodził z nim, stawał za krzesłem i na rozkaz popisywał się z coraz nowemi sztukami, których go ciągle uczono. Nigdzie śladu namiętności, wszędzie flegma, rozsądek, rachuba — zapowiadała w tém mieście świat daleko inszy od Hiszpanii, regularny, nakręcony jak zegarek, methodyczny i zimny. — W Kawiarni, do któréj zachodziłem po przechadzkach, słyszałem ciągle o ulubionym autorze fantastycznych powieści Hoffmanie; poczciwi Niemcy, mówili, że był słaby od niejakiego czasu, martwili się tém, i starannie wypytywali się o nowiny jego zdrowia i humoru, każdego wchodzącego z jego znajomych.

Równie z niemi interessowałem się nim,

a to tak dalece zyskało mi u nich przyjaźń, że jeden młody człowiek, obiecał mię wprowadzić do Kawiarni Hoffmana, jak tylko on wyzdrowieje i znowu co wieczora zacznie przychodzić do ulubionego bohlu punczu i fajki.

Długo czekałem na to, aż raz nareście, dali mi znać, że się go spodziewają: Przyszedłem o godzinie ósméj, jego jeszcze nie było, dobrą godzinę strawiliśmy gawędząc nad fajkami, dziewiąta wybiła, nie przychodził do zapalonego punczu, do Wina Reńskiego, które na niego czekało, do fajki nałożonéj stojącéj w kącie, któréj nikt dotknąć nie śmiał.

Miejsce na którém siadywał było próżne, siedzieliśmy zawiedzeni i smutni, nie tykając szklanek, nie zapalając fajek, które coraz częściéj gasły, w miarę jekeśmy go dłużéj czekali.

Powiadano mi, że to jego opoźnienie było cudem prawie, gdyż zawsze przychodził po natchnienie za ten stół, na którym jego ręce, wygładziły drzewo, jak lwie łapy w klatce. Chyba chory, mówili wszyscy, chory, może umarł, bo niepodobna, żeby mając jeszcze dość sił na wyjście z domu, nie przyszedł o swojéj godzinie.

Miał żonę dobrą, miłą, spokojną, cichą, ko-

biétę bierną, bez swojéj woli, posłuszną, która by samego djabła zatrzymała w domu łzami i prożbami; płakała, prosiła go na klęczkach, a on wymykał się jednak w nocy, w wiatr, burzę, słotę i przychodził pić i gawędzić w swojéj kawiarni. Osobliwie po śmierci ulubionego kota Murra, czując potrzebę roztargnienia, nigdy nie chybił wieczora.

Miał przyjaciół, którzy go chcieli wspólnie z żoną, od tego rodzaju życia oderwać.

Miał pseudo-protektorów, którzy dogmatycznym tonem, starali się próżnemi sensu uwagami zbrzydzić mu to życie, dać mu uczuć przyjemność wyższych towarzystw — z tych śmiał się z nami. — Bo, kto mu tylko mówił przeciw fajce, winu, i wolnéj kawiarnéj gawędce, mógł przemawiać do niego imieniem sławy, rozumu, majątku, nadziewać swoją mowę maxymami siedmiu mędrców i aforyzmami wszystkich filozofów, jak tylko mówił przeciw temu, co Teodor lubił, kochał, wszystko było napróżno. Gdyby za jego czasów nie było kawiarni, byłby je utworzył, tak ich potrzebował.

A ludzie zimni, methodyczni, którzy od dzieciństwa robią systemat całego życia i plan na wszystkie dnia godziny, ci ludzie nie poj-

mując jego życia pełnego wrażeń i dumań, nazywali go po prostu pijakiem.

On z uśmiechem rezygnacyi, słyszał o tém, nie troszczył się wcale, rzadko się gniéwał, częściéj daleko śmiał się i robił swoje.

Wybiła dziesiąta, nie przychodził, zaczęliśmy być niespokojni, czy nie zasłabł znowu.

— Może pisze jaką powieść, albo partyturę swojéj operetki, odezwał się jeden.

— Skończy dziś pewno *Garnek Złoty*, rzekł drugi.

— Może rysuje jaką chmurę dziwacznego kształtu, spostrzeżoną na wieczorném niebie, przerwał trzeci.

— Zobaczym jutro.

— Dowiemy się.

I smutni szli wszyscy ku drzwiom, a ja za niémi.

— Dobra noc.

— Dobra noc.

Jużeśmy wychodzili, gdy zdala dało się słyszeć stąpanie, znajome dobrze przyjaciołom, Hoffmana. Zatrzymali się — kroki się zbliżały — słychać było chód prędki, bez myśli, machinalny, nie regularny, raz dzwięczący w korytarzu, jak młot północny w pustéj kuźni, to znowu lekki, cichy, kobiécy,

rozchodzący się po sklepieniu, jak zadęcie w pękniętym flecie.

Nakoniec ukazał się Hoffman — Oczy miał iskrzące, usta konwulsyjnie ścisnięte, włosy rozwiązane, suknie rozpięte. Wszedł bez rękawiczek i kapelusza, jakby tylko z drugiego pokoju.

Zatrzymał się koło progu, spójrzał na wszystkich i zawołał.

— Uciekacie przed północą, nie czekając na mnie, czyli to uczciwie? czy to po przyjacielsku? —

— Już poźno! — odezwał się jeden.

— Poźno! tak, już zapoźno — masz słuszność, idźcie, jeśli chcecie — już poźno — ja zostanę. Punczu! zawołał i usiadł na swojém miejscu, nic nie mówiąc więcéj.

Milczał, dumał, widać było przez czaszkę, jak myśl jakaś mózg mu wyjadała. Nie poruszony jak posąg, patrzał w jedno miejsce, usta mu drżały, powieki błąkały się nad zapalonemi oczyma. Przyniesiono puncz, zrobiony wprawnemi rączkami białéj Lottchen, puncz morski, który ze krwią złączony wrzał jak lawa w żyłach. Teodor zaczął pić, nałożył fajkę, i po chwili milczenia, zamruczał wyrazami niezrozumiałemi: —

— Muszę być szalonym, szeptał — albo

wielkim człowiekiem. Przychodzą mi czasem myśli, które tylko w głowach tych dwóch rodzajów ludzi urodzić się mogą. Widzę rzeczy inaczéj jak wszyscy, nikt mnie nie rozumie. Są moje myśli exkrementami choréj głowy? Wielkie czy szalone, niepojęte czy nierozumne?

— Wiécie, zawołał głośno po długim przestanku, — zaczynam wielkie dzieło in folio: systematyczne, poważne, uczone, nieśmiertelne.

— Cóż to takiego? zapytali znajomi.

— Wy mnie nie rozumiecie, nie czujecie; odpowiedział — trzebaż wam mówić wszystko, od A do Z, jak pięcioletnim dzieciom. Czy nie widzicie mojéj myśli w oczach, na czole, nie przeczuwacie nic, trzebaż wam słów, zawsze słów i słów tylko?

Zamilkł znowu, widząc zapewne, że pomysł, który mu się tak świetnym i szczęśliwym wydawał, przeszedłszy przez opowiadanie, straciłby może wiele na wdziękach. Lecz wkrótce uległ potrzebie mówienia i wstawszy, chodząc, patrząc w ziemię, rzucając dym kłębami, rozprawiać zaczął.

— Przedsiębiorę wielkie dzieło — *Monografją Głupstwa*. Rozbieram, anatomizuję tę chorobę umysłową, dzielę ją na rodzaje,

gatunki, rzędy, klassy, śledzę przyczyny materyalne i intellektualne. Uważam ją jako defekt organiczny mozgowy, potém jako słabość moralną, pochodzącą z braku wychowania. Nie widzicież, jak zajmujące będzie to dzieło, jak nowe, jak użyteczne nareszcie, bo go chcę sumiennie wypracować pod wszystkiemi względami. Dodam jeszcze historją rozumowaną, wszystkich głupstw ludzkich popełnionych od początku świata. Wszystkie narody przyjdą tu złożyć po cząstce rysów do tego obrazu wielkiego, daleko więcéj zajmującego, niż blade, wysilone frazesy Pana Rio.

Dzieło to będzie niemieckiém co do formy, uniwersalném dążnością — będzie to wielka praca! wielka! ale mam nadzieję, że nie próżna.

Niektórzy ze słuchaczów uśmiéchali się, zakrywając dymem, ale wzrok jego magnetyczny, przejrzał przez kłęby Knastru. I z niecierpliwości rozbił szklankę i rzucił fajkę o ścianę.

— Smiejecie się, wykrzyknął — niechcecie zrozumieć, pojąć myśli, skutków. — Głupstwo, jestże tak małą rzeczą? Dokładne jego poznanie nie jestże interessującém dla wszystkich? — czyż nie dla tego nazywamy

jednych mądremi, że drudzy są głupi? Byłoż by światło, gdyby nie było ciemności?— Wszak wszystkie wiadomości ludzkie są względne; i powtarzam wam: mądrzy są mądremi tylko względem głupich — byli by głupcami, w porównaniu z wyższą mądrością, gdybyśmy ją znać mogli. Poznanie systematyczne tego, co nazywamy głupstwem, poparte postrzeżeniami Galla, Spurzheima, Blumenbacha, będzie nową cegłą do gmachu zaczętego psychologii i medycyny rozumowanéj. — — — Znowu śmiech słyszę! przerwał — śmiejcie się, śmiejcie, drzyjcie mi duszę, tym szatańskim sceptycznym śmiechem. — Śmiejcie się, śmiejcie. Moja myśl będzie mi tarczą od waszego śmiéchu; prześliznie się po mojéj duszy, jak nóż po kamieniu.

Przyjaciele zapewnili go, że nikt się nie śmiał.

— To ten zielony szatanek chyba, co za mną chodzi wieczorem i skrzeczy jak żaba, rzekł Hoffman, nalewając szklankę, ale ja mu dam rady. On to zadusił mi Murra! —

Potém milczał i chodził, lecz dręczony swoją myślą, nie mógł się jéj oprzeć długo i znowu zaczął.

— Głupstwo, jest to nazwanie generyczne, znaczy ono brak rozumu; a jako rozum wedle

Kanta jest podwójny, tak i głupstwo musi być także dwoiste, theoretyczne i praktyczne, nieczynne i działające. Wszyscy pod pewnym względem mamy swoje głupstwa, to się nazywa grzecznie słabą stronę człowieka. Ścisłe badanie ludzi, przekona, że niéma i jednego, któryby nie miał swego rodzaju głupstwa.

Dzielę tę chorobę na:—

Kretenizm, słabość organiczną —

Stupiditas, w lżejszém stopniu podobną do piérwszego. — Potém idą: Głupstwo dzielące się na wiele drobniejszych rodzajów, Szaleństwo, Obłąkanie, Monomania i t. d. i t. d.

Pod względem sztuki, trudno niewidzieć, jak ten przedmiot jest bogaty, rozmaity, płodny, świeży!

Same głupstwo da się podzielić, na filozoficzne, w sposobie Djogenesa i Empedoklera, literackie, religijne (zabobonność), zupełne (niezdatność do interessów) dumne, umiarkowane i pokorne. Do tego łączą się mniejsze wspólne wszystkim ludziom obłędy, będące w nich częścią *ja* czynnego, nie *ja* patrzącego (observatif), w którém się mieszczą inne głupstwa rodzaje, prawie wszystkie.

Pewny jestem, dodał, że nierozumiécie te-

go podwójnego *ja?* muszę wam to wytłumaczyć.

I Teodor napił się znowu punczu, zapalił fajkę, i już usta otwierał, gdy jeden z jego przyjaciół, wskazał mu zegar, którego dwa palce, założone na siebie, spoczywały na liczbie.

XII.

— Niech licho porwie czas i godziny, zawołał Hoffman wstając i znowu rzucając się na krzesło, nie można, spać, kochać, myśleć, próżnować, żeby te przeklęte zégary, nie stanęły nam na drodze i nie pokazały nam szydersko, jak śmierć idzie prędko na nasze spotkanie. Bo czas sam jest śmiercią!

To mówiąc zasnął Hoffman, a myśmy się rozeszli, widziałem go potém kilka razy, ale już nigdy o Monografii nie wspomniał.

Pomysł ten wyczerpnięty za piérwszém ukazaniem się w głowie, skonał tego samego dnia, którego się urodził.

Pojmowałem częściéj go słuchając, dla czego taki był ścisk w kawiarni, do któréj przychodził wieczorem. Fascynacja jego mowy, ciągnęła tam przez ciekawość, a kto raz wszedł, jak królik do klatki grzechotnika, już zostać

musiał, i powracał póty póki tylko mógł. Często Hoffman był ponury, dziwaczny, czasem bardzo żartobliwy i wesoły, tak, że można było chorować od śmiechu, który w nas wzbudzał. Pamiętam, jak dzisiaj, drugi wieczór, na którym w sposób najdziwniejszy, prawił nam cóś o ludziach, pamiętam uśmiech jego bolesny i szyderski, kiedy témi słowy zaczynał, stawiając z całéj siły próżną szklankę na stole.

— Wielka szkoda, że dotąd nikt o ludziach nie pisał prócz ludzi, ilebyśmy to nowych zupełnie rzeczy dowiedzieli się o sobie? — My, choćbyśmy się starali pisać najbezstronniéj, zawsze myśl okuta w cielesne wyobrażenia, w głowie ludzkiéj wylęgła, przez usta ludzkie przedystyllowana, będzie różna formą, a jednakowa istotą.

Gdyby to choć na chwilę można się odczłowieczyć?..... Ekzaltacja jest wprawdzie rodzajem odczłowieczenia, pomysły jéj śmiałe i zadziwiające, często się wznoszą nad zakres zwykłych wyobrażeń — lecz w najbardziéj ekzaltowanéj ekzaltacii czuć ciało i ziemię. Człowiekiem jest zawsze i wszędzie tylko człowiekiem. Jeśli nawet pod twardą jego czaszką urodzą się myśli nadziemskie, utoną w oceanie słów niezrozumiałe i poło-

wa ich zginie, nim się na papier przeniosą; bo na wiele uczuć i myśli, nie ma słów w języku, okalać je trzeba długim szeregiem frazesów, a w środku zamiast myśli, zostanie tylko przestrzeń ugnieciona na formę pierwszego wyobrażenia,

Od najmniejszego robaczka, do najpoufalszego ludziom zwierzęcia, każde stworzenie inne ma wyobrażenia o człowieku, a w miljonach ludzi niéma może dwóch, którzyby sobie siebie jednakowo wyobrażali.

Każde oczy inaczéj widzą, każda głowa inaczéj myśli, a jeśli są punkta, na których pozor — nie spotykają się ludzie, między dwóma podobnemi wyobrażeniami, jest jeszcze tysiąc odcieniów. Wyobrażenia bowiem przywiązywane do słów, zależą w ludziach od pierwszych przedmiotów, które z temi słowy weszły do ich pamięci i wypiętnowały się na niéj — od usposobienia umysłowego, od mniejszéj lub większéj giętkości i zręczności umysłowéj, od barwy i koloru, jakim są intellektualne oczy ich powleczone, i od któréj wszystko na co patrzą koloru nabiera.

„Świat, światy — co to jest? wołał rozgrzany punczem. Przestrzeń bez granic napełniona materją przezroczystą, płynną, spre-

żystą, jedném słowem powietrzem, wyobraźmy sobie w śród niéj ogromne kule ogniste, świécące, drugie mniejsze, mniejsze, mniejsze, obracające się koło nich.

Między temi kulami jest jedna maleńka.— Nazywa się ziemia — tak ją nazwała część stworzeń mieszkająca na niéj. Cóż to jest ta kula w millionie kul zawieszona, obracająca się w nieskończonéj przestrzeni, otoczona nieskończonym kręgiem miejsca, na któréj kręcą się małe stworzenia, drobne robaczki—? to ziemia!

Ziemia okryta jest różnemi górkami i dołkami i kałużami, otoczona parą unoszącą się nad nią w obłokach, jak para nad garnkiem kaszy. Na téj ziemi są różne stworzenia ukryte w jéj dołkach, szczelinach, między krzewami, budujące sobie, klatki, z proszków, które wiatr i wieki naniosły.

Są tam jedne stworzenia, które latają nisko, niżéj obłoków nad ziemią.

Są drugie pływające na kałużach.

Są trzecie wijące się po ziemi.

Są czwarte zakopujące się w ziemi.

Są piąte chodzące po niéj.

Są szóste, które latają, pływają, wiją się, zakopują i chodzą — te są najosobliwsze. Uroiły sobie panowanie nad światem! ci nazy-

wają siebie ludźmi. Wszystkie zwierzęta naśladować potrafią, uczą się od nich i rządzą niémi — a jednak mniéj daleko innych zwierząt na ziemi, jak ludzi!!

Człowiek! zagadka niepojęta — w dzieciństwie jest zwierzątkiem, piérwsze iskry rozumu robią go aniołkiem, świeżość myśli, wdzięk ciała, wszystko się do tego przyczynia. Potém ten anioł zmienia się nieznacznie w istotę pośrednią, między człowiekiem a duchem, w miarę, jak widzi świat, jak spadają z przedmiotów złudzenia, jak ogień młodości i zapał się szafuje — potém niedowiarek zimny z sercem pokaleczoném, jest to pół człeka, pół szatana. Nareście, kiedy wiele utraci, wycierpi wiele, kiedy łzy płynąć przestaną, zakamienieje serce, urodzi się nienawiść dla bliźnich — jest to szatan, cały szatan, z uśmiéchem w ustach, z przekleństwem w sercu, z łzą litości na oku, a nienawiścią w duszy, z pobłażaniem powierzchownem, a zemstą ukrytą.

Na starość mięknie ten sam człowiek, niebo przegląda mu w chmurach życia, wzdycha do niego i modli się — potém zwierzęcieje, dziecinieje, staje się rośliną, gnije. — A z jego głowy rosną chwasty, z ciała żyją robaki, z kości robią sadzę do szuwaksowa-

nia butów i na grobie stawią w seciny lat wesołe domy drugim podobnym jemu motylom, których skrzydła prędko opadną! —„

Po takich mowach, wzdychał nieraz Hoffman i z nienacka zaczynał jaką powieść dziwaczną, którą potém rozszerzał i pisał. Pamiętam jedną z nich, po któréj nazajutrz zachorował, zapomniał o niéj, nie napisał i zginęła by, gdybym je w mojéj głowie nie zamknął. Chcecie — powiem wam ją, jak potrafię — nie ręczę jednak za dosłowną wierność, bom jéj nie steganografował.

Kwiat Paproci.

— „Był to właśnie wieczór S. Jana, gadaliśmy nad bowlem punczu o sławnym kwiecie paproci i o cudownem podaniu, które do niego jest przywiązaném. Powiadają, odezwał się jeden, że w wieczór S. Jana wyjść trzeba samemu jednemu do lasu i szukać tego kwiatu, ma on być nieopisanéj piękności, niestałych i zmiennych, ale pięknych kolorów — nigdy nie więdnie. Ten co go posiada, widzi wszystkie skarby w ziemi ukryte i ma czego tylko zażąda. Nie tak jednak łatwo, jak się zdaje, zerwać kwiat paproci, rozmaite straszydła — smoki, lwy, węże, piekielne ognie, bronią go w chwili, kiedy się człowiek zbliża ku niemu, ale jak tylko raz

ma dość odwagi, na zerwanie go, chwyciwszy go w rękę, już wszystko ustaje, gaśnie, cichnie, i szczęśliwy niesie go z sobą gdzie chce.

Gdy jeden tych słów domawiał, wszedł do Kawiarni człowiek wysoki i blady, suchy tak, że suknie zdawały się tylko wisieć na kościotrupie, oczy miał wielkie żółto-płowe i brodę od miesiąca przynajmniéj niegoloną rudą. Wlepiliśmy wszyscy oczy w niego, a on siadł, przy opowiadającym i prędko, sucho jak grzechotka nocnego stróża mówić zaczął —

— To są bajki! to są bajki! kłamstwa! oszukaństwa, przez sto lat dzień w dzień chodzę za tym kwiatem, ale go niéma nigdzie! dzieciństwo! marzenie! —

Paproć ma kwiat maleńki, żóło-biały, osadzony na liściach z przewrótnéj strony — patrz Botaników i czytaj Herbarze — to bajki! bajki!

— Nie inaczéj i my myślemy — odezwało się kilku. Rudy przychodzień zamyślił się — i półgłosem dodał — Chciałbym żeby to były bajki!

— Więc to prawda? podchwyciliśmy.

— Ja niechcę, żeby to była prawda, to mnie nadto boli.

— Kwiat paproci?

— Wspomnienie.

— Czego?

Rudy nic nie odpowiedział, tylko po włosku brodę sobie wyrywał.

Daliśmy mu wina i fajkę, skosztował jednego, powąchał drugiéj i rzucił — Szkaradne wino, bezecny tytuń! zawołał.

— Jednak to najlepsze w mieście.

— Zobaczycie — I to mówiąc wylał najlepsze nasze wino Reńskie, stary *Schloss Johannisberger* za okno, wysypał nasz wonny Knaster, i z flaszką i pudełkiem wyszedł do sieni. W pięć minut powrócił z winem i tytuniem i dał nam skosztować.

Zapach, który się rozszedł od wina. wprawił nas w rodzaj osłupienia — było ono reńskie, każdy przypomniał sobie, że gdzieś czuł, czy marzył taką woń roskoszną — iż gdybyśmy nałożyli fajki, niebieski dym unosząc się z nich, zdawał się z nieba przybywać — Był to Knaster, ale taki, jakiegośmy nigdzie palić jeszcze nie mogli, Knaster siany, suszony i krajany w raju.

Nieznajomy obojętnie przyjął zadziwienie nasze i podziękowania, palił tytuń i pił wino, nie troszcząc się o nas — my coraz zaglądaliśmy do butelki, ale z wielkiém po-

dziwieniem naszém, chociaż ze dwadzieścia szklanek jużeśmy wypili, wina nie ubywało, ani tytuniu. Najbliżéj siedzący nieznajomego, pijąc i paląc fajkę, odsuwali się jednak od niego z przelęknieniem dziecinném. Ja jeden dotrzymałem miejsca przy nim i uporczywie nalegałem na niego, aby mi powiedział swoje życie.

— Moje życie? wołał rudy — jest piekielna męka, nie dość że cierpieć, trzebaż jeszcze całe życie mieć w głowie przeszłe cierpienia, nie mając przeszłych roskoszy?— Potém milczał, a w kilka minut nieproszony mówić zaczął.

„Było to w dzień Świętego Jana, w domu nie było chleba, dzieci moje wyciągały do mnie ręce płacząc, a ja nie miałem im co dać, żona przedawszy ostatnie swoje łachmany, przyniosła im zgniłych i kwaśnych jabłek, bo w mieście chleba nie dostała — pożerały je biedne zgłodniałe — nie mogłem na to patrzeć i uciekłem z domu. Na ulicach pełno było ludzi postrojonych, matki z postrojonemi dziećmi, ojcowie z drobnemi na ręku — moje biedne płakały z głodu. W rozmowach przechodzących, słyszałem o kwiecie Paproci, śmieli się z niego, ja z rospaczą w sercu, bez myśli poszedłem do lasu.

I w lesie pełno było ludzi, dziewcząt, chłopców, śmiechu; uścisków, radości, które mi rozdzierały serce — bo myślałem o moich dzieciach głodnych. Wieczór był piękny, xiężyc świecił, błyskały w krzakach świętojańskie robaczki, chłodny wiatr, ledwie gałęzie drzew poruszał. Szedłem daléj w las — w oddaleniu za mną ginęły śmiéchy, krzyki, głosy, wszedłem w ciszę zupełną, w gęstwinę, tylko robaczki świeciły, tylko wiatr szumiał, i xiężycowe promienie padały gdzie niegdzie na listki. Nagle o kilka kroków od siebie postrzegłem na łodydze ogromnéj paproci, jasny kwiat złoto-niebieskiego koloru. Wznosił się może łokieć nad ziemią, a był tak wielki, że w nim wygodnie spocząć mógłby człowiek, miał siedem liści, i siedem pręcików świecących, jak promienie słońca i siedem małych listków przy łodydze — domyśliłem się od razu, że to jest kwiat mego szczęścia i poskoczyłem ku niemu.

Lecz kiedy już wyciągałem rękę, naokoło jak z kotła buchnęły płomienie i kwiat się podniosł, potém z płomieni, wyskoczyły smoki siedmiogłówne, wzięły się skrzydłami i zaczęły skakać wyjąc takiemi głosami, jakie chyba w piekle posłyszeć można. Na samym kwiecie tańcowało siedmiu djabłów zielo-

nych, a na średnim słupku trzymał się na ogonie wyprężony wąż niebieski, z którego pyska widać było język palący się jak świéca. Cofnąłem się krokiem i pomyślałem, albo wezmę, albo zginę, jeśli dostanę, dzieci moje nie będą głodne, jeśli zginę—nic im moja śmierć nie zaszkodzi. Przystąpiłem, wrzawa rosła, płomienie buchały, smoki obracały się tak prędko, jak najmniejsze z kół młynowych — wyciągnąłem przez nich rękę, posunąłem się nie patrząc, chwyciłem za łodygę i już kwiat był moim.

W momencie wszystko ustąpiło i zgasło, tylko siedmiu djabłów zielonych skoczyło na ziemię, pozdejmowali kapelusze, zaczęli mi się kłaniać i drwić ze mnie.

— A! winszujem! winszujem! wołali, ślicznąś rzecz dostał, schowaj do kieszeni, schowaj do kieszeni, poparzy ci ręce! — winszujem.

Jeden śmielszy zbliżył się i chciał mi wyrwać kwiat z ręki, uderzyłem go po głowie i zniknął. Myślałem potém co robić z kwiatem, jak go użyć, gdzie schować, ale zaledwiem o tém pomyślał, kwiat zmniejszył się, złożył jak do pularesu, włożyłem go w kieszeń z boku i szybko powracałem do domu.

Zaledwie wyszedłem z lasu, całe pole mię-

dzy mną a miastem ujrzałem nasiane pieniędzmi, które wszystkie w głębi ziemi widziałem; wszystkie skarby były mi widoczne, ale nie mając ani rydla, ani łopaty, ani czasu, musiałem odurzony i uszczęśliwiony powracać do domu.

Zastałem w nim taką samą, jakom porzucił nędzę, ale zaraz na progu, wyjąwszy mój kwiat, zażądałem od niego jedzenia. Stół nakryty wszedł kominem — ten cud nie bardzo głodnych zadziwił, nie myśleli zkąd i jak przyszło, byle jedli. Potém zażądałem sukni, domu, majątków i wszystko było na moje roskazy. Uwierzycież temu, we dwa tygodnie tak byłem znudzony, nie wiedząc czego żądać, żem zazdrościł chwili, w któréj pracowałem na kawałek spleśniałego chleba.

Żona moja z początku rada odmianom, widząc nareście jak cudownie przychodziły, pomyśliła nakoniec, żem djabłu duszę przedał, płakała cały dzień i noc, modliła się, ale bojąc się mnie, nic mi powiedzieć nie śmiała.

Przyszła następna Wielkanoc, poszliśmy razem do spowiedzi i uspokoiła się nareście, nie mogąc jednak pojąć, jakim sposobem działy się wszystkie te cuda.

Ale mnie z temi wszystkiemi dostatkami, coraz nudniéj było na świecie, miałem czego

tylko żądałem i niepodobna mi było, wymyśleć żądania. Poznałem wówczas, że w życiu człowieka, więcéj robią przyjemności żądania i nadzieje, niż samo użycie. Kilka razy miałem ochotę precz wyrzucić ten kwiat przeklęty, alem się lękał nędzy, na któréj wspomnienie drżałem. Tym czasem najnierostropniejsze żądania moje, często z zapoźnym żalem, spełniały się cudownie.

Tak raz, gdy mi najmilsze moje kwiaty, potłukły z wazonami dzieci, w pierwszym gniewie wyrwały mi się słowa:—

— Bodajem was więcéj nie widział.

Wieczorem próżno po całym domu szukaliśmy dzieci, nie było ich nigdzie, rozesłałem ludzi na wszystkie strony, Karolka i Emilki nie było. Smutni siedliśmy do stołu i nic nie jedli. Lecz, gdy roznoszono potrawy, sługa przez zapomnienie stanął koło ich miejsca i łyżka sama nałożyła jedzenia na ich talerze.

— Jesteście tu! zawołałem.

— Tylko cośmy przyszli z ogrodu Papo, odezwały się dwa ich głoski dziecinne. Obejrzałem się, ale krzesła były próżne i niewidać ich było.

— Gdzież jesteście?

— Siedzim za stołem.

— Czyż ich nie widzisz, odezwała się w téj chwili moja żona, ja od kwadransa spostrzegłam ich już, i myślałam że widzisz ich także.

Niestety! poznałem w téj chwili, żem ich już nigdy więcéj nie miał widzieć, dotknąłem rękoma, oboje, ale oczy moje próżno się siliły, zobaczyć je — dla nich już nie było moich dzieci.

Na nieszczęście, skutki żądań przez cudowny kwiat paproci otrzymane, już tym samym sposobem odwołane być nie mogły. Musiałem być ostróżnym w gniewie i przekleństwach, bo dwóch już sług moich ziemia pożarła, a jednego piorun zabił, w chwili, kiedym uniosłszy się gniewem, przeklął ich tym sposobem, nie przywiązując żadnego znaczenia, do słów na wiatr wyrzeczonych. — Niewidzialne dla mnie dzieci moje, wkrótce potém poumierały — żona ze smutku poszła za niémi, ja sam jeden zostałem, miałem wszystko czegom żądał, ale byłem sam jeden. Nie mogłem się nawet spodziewać śmierci, bom uczynił życzenie, żyć lat tysiąc, a rok każdy dla mnie wlokł się na ślimaku.“

Nieznajomy zamilkł, skupiliśmy się koło niego i zaczęliśmy prosić o pokazanie kwiatu. Opierał się długo — potém wydobył z za su-

kni, zamknięty pugilares, odwinął papiery, uczuliśmy wszyscy zapach niesłyszany nigdy, jeszcze kwiatów rosnących w raju, i nakoniec ukazał się nam cudowny kwiat. Nie był wyschły, ani zwiędły, i zdawał się cały brylantami sadzony, tak, że przy nim wszystkie światła pogasły — oczy nasze oderwać się od niego nie mogły.

Nieuważaliśmy, jak ktoś obcy, wsunął się między patrzących i nagle pochwycił go z całéj siły, szarpnął do siebie, urwał ze sznurkiem i wybiegł.

Dawny jego posiadacz, nie bronił się wcale, pozwolił go wziąść i usiadł spokojnie przy nas pić wino i fajkę palić.

— Cóż teraz poczniesz? zapytałem.

— Mój kwiat powróci do mnie.

Czekaliśmy aż do północy, ledwie ta godzina wybiła, kwiat rozwinięty, błyszczący wszedł do izby wlokąc za sobą złodzieja, który przytrzymany liśćmi za rękę, napróżno się wyrywał.

Nieznajomy wziął kwiat, odczepił złodzieja i puszczając z ust fajkę, zawołał — Za karę przemieniam cię w połapkę na myszy — zdradzaj i zabijaj — przynajmniéj nie ludzi.

Ledwie tych słów dokończył, na środku

stała już połapka ze słoniną i czekała na myszy.

W rok dopiéro po tym wieczorze, zobaczyłem nieznajomego posiadacza kwiatu paproci, przyszedł znowu w dzień Ś. Jana do naszéj kawiarni, ale już zupełnie inaczéj wyglądał, otyły był, włosy miał czarne, twarz rumianą, ale humor jego nic się nie zmienił, tak był smutny, jak wprzódy.

— Pytałem się, jak ten rok przepędził?

— Nędznie! odpowiedział. Przekonałem się, że są rzeczy, których nie można dokazać kwiatem paproci.

— Cóż takiego? zapytałem.

— Szczęścia, rzekł smutnie, chodzę za nim i nigdzie go niéma, mam wszystko i nic mnie nie cieszy, sprzykrzyło mi się żądać. Nikt mnie nie kocha, próżno żądam tego, od czarodziejskiego kwiatu, on mi nic nie pomaga. Obojętni, zimni, wszyscy mnie omijają i zostawują w środku obcego. Po tych słowach wyszedł i znowu rok upłynął, nim go w dzień Ś. Jana zobaczyłem w naszéj kawiarni. Skarżył się znowu. Ożeniłem się, rzekł powolnie, myślałem, że tym sposobem zrobię sobie rodzinę nową, że mnie ktokolwiek na tym świecie szerokim kochać będzie; — naprożno, widzę jak na dłoni serce mojéj żony, pełne

jest strojów, fraszek, młodych twarzyczek, a mnie tam niéma! — Gdybym jak inni, mógł przynajmniéj wyobrazić sobie, że jestem kochany! Ach! a tysiąca lat koniec jeszcze daleki.

Od téj ostatniéj rozmowy, jużem go nigdy nie widział, mówił Hoffman, i próżno w każden dzień Ś. Jana do Kawiarni przychodzę— on się już nie pokazuje.

Gdy Hoffman na ostatnią już swoją zapadł chorobę, przewidując, że wycieńczenie szpiku w kości pacierzowéj, inaczéj jak śmiercią skończyć się nie może, a nie chcąc być jéj świadkiem, wyjechałem z Berlina, do Włoch, a mianowicie do Rzymu, który łakomie pragnąłem oglądać.

Rzym jest jak jedna z piramid, stoi on na świadectwo sił przeszłych wieków i potęgi, wielkie mauzoleum państwa Rzymskiego, wielka nauka o niestałości rzeczy ludzkich, o któréj tutaj bardziéj jak w ruinach Palmiry rozmyślać trzeba mimowolnie.

Ileż to popiołów wielkości kryje się pod temi gruzami, na których wyschły bluszcz rosnie i sowy śpiewają. Dojeżdżałem do Rzymu od strony błot Pontyńskich, gardząc *aria cattiva*, któréj ślady widoczne zachodziły mi drogę, na bladych twarzach pastuchów trzód

bawolich, nędza i choroba spotykały mnie u wrot dawniéj wesołego Rzymu, Rzymu Nerona, Rzymu Marka Antoniusza i tylu jeszcze wielkich i nikczemnych!

Pusta była Kampania w około, potém na niebieskiém tle oddalenia, pokazały się wieże — mury, których fizionomia podobną była do zabalsamowanego trupa, do tych karawan zasypanych piaskiem pustyni, które stoją ze wszelkiemi życia znakami, a nie żyją. Puste były ulice, gdym wjechał, w kilku tylko kramikach siedzieli rzemieślnicy próżnując i kilka kobiet ziewało w progu domów. Cichość poważna, grobowa, przerywana głosem roznoszących wodę zimną, melony i *maccaroni*, panowała nad miastem. Nad głowami mémi stał wielki grobowiec Michała Anioła, jego sława—Kościoł S. Piotra, olbrzymia głowa wszystkich Kościołów świata — w koło pozamykane i bezludne pałace, wielkie szkielety bez duszy, dzieła Palladiów, Michałów, Berninich, opuszczone i zaniedbane. Daléj świątynie pogańskie przechrzczone na Kościoły, ruiny Collizeum, ruiny łaźni, ruiny pałaców, groby grobów. Na tém wszystkiém lud wybladły, wycieńczony, ospały, leniwy, ruiny Rzymian dawnych. Mogęż wam opisać to miasto, które musicie widzieć żeby poznać, mo-

gęż dać wam wyobrażenie cudów sztuki, które zobaczycie w Lożach Raphaëla d'Urbino? w Muzeum *Pio-Clementino*, w pustych pałacach w których mieszkają obrazy wszystkich mistrzów włoskiéj szkoły? — Resztę Rzymu opiszą wam inni podróżni, piramidę Metelli, płowy Tybr Horacjusza, Villę Cicerona, Kolumnę Trajana, Katakomby, mozaiki S. Piotra i wszystko, co zwykli wędrownicy szeroko malują, każdy krytykując tego, który był, pisał i swoich poprzedników czernił przed niémi.

Pod gorącém Włoch niebem, rodzą się czasem ludzie, jakich inne części świata nie wydają, z ciałem wysuszoném od słońca, duszą mocną i działającą, włosem czarnym, twarzą ruchawą i odmieniającą wyraz co chwila, z oczyma pełnemi ognia i życia, z niespokojnością otaczającą ich serce, która pcha ich w zamęt najdziwniejszych wypadków, ciągłym biegiem z jednych w drugie. Tacy są i tutaj rzadkim fenomenem, bo opuszczenie i niedbalstwo, bez wątpienia z gorąca pochodzące, jest jedną z cech charakteryzujących klassy niższe. Lecz w śród tłumu wyrodzi się czasem ktoś na bohatéra, na wielkiego człowieka, na dziwotwór moralny. Okoliczności pchną nim, zgniotą go i stłuką, nikt nie ża-

łuje, bo nikt nie wie do czego mógł być zdolnym, ten, po którym pamiątki żadnéj nie zostało. Jednym z tych dziwotworów był Giaseppo Balsamo, poźniéj zwany Cagliostro — był on rodem z Palermy, piszą niektórzy, lecz w istocie z Rzymu. Urodził się z matki, żony dość biegłego sztycharza, — Paolo Balzamo, w kilka dni po urodzeniu syna, przechodząc pustą Ulicą, wieczorem, pchnięty został sztyletem i umarł. Wdowa po nim młoda i piękna jeszcze, lecz rzadkim we Włoszech przypadkiem, cnotliwa, mimo otaczającéj ją nędzy, nie chwyciła się próżniackiego i rozwiązłego życia, nieutulona po stracie męża, miała potém tylko dwóch kochanków, którzy jéj życie utrzymać dopomagali. Balzamo nic jéj nie zostawił, prócz wielkiego zbioru rycin i szkiców swoich i cudzych, mnóstwa tablic miedzianych różnéj wielkości i rylców, zaczętych machin, zarysów, projektów, jakie się zwykle zostają po ludziach, którzy się do wielu rzeczy biorą, dla tego, że żadnéj dokonać, nie umieją. Wdowa niepotrzebując nigdy gwałtownie pieniędzy, nie myślała nawet o sprzedaniu po mężu pozostałych gratów zwalonych w ciemnéj izdebce. Kołysany na kolanach matki i jéj kochanków, wyrósł piękny, zwinny, żywy Beppo, Beppo-

lo, Beppolino, pieszczony, kochany, bez starań o przyszłość jego, bez myśli, bez żadnego kierunku. Od dzieciństwa okazywał wiele dowcipu, zręczności, ciekawości i bystrości w pojęciu, — w czarnych jego oczkach pałała chęć dowiedzenia się wszystkiego, nie było dziurki, którąby nie zajrzał, rzeczy, którejby nie obracał w ręku, o którejby się nie zamyślał tak głęboko, jak tylko dziecię zamyślić się może.

Z ciemnéj izdebki wyciągał powoli Beppo rysunki ojca, które stanowiły najulubieńszą jego zabawę i całe dnie rozmawiając głośno z niememi postaciami, dorabiał wąsy aniołkom a świętym rogi, i śmiejąc się biegł z niemi do matki, pokazywał, cieszył się, skakał. Czasem na odwrócie rysunku, na białéj jakiéj kartce zaczynał rysować, co mu na myśl przyszło, i tak otoczony ciągle sztychami, spiąc z nimi i budząc się koło nich, wyuczył się nieźle rysować, — już w dziecinnych jego obrazkach przebijała się czasem myśl i życie Matka parę razy pokazawszy robotę synka, zapomniała o tém. Beppo jednak nie ustawał w swojéj zabawce, prócz któréj tysiące jeszcze figlów go zajmowało, szczyty sąsiednich domów, koty, psy, ptaszki, całe sąsiedztwo, było przedmiotem głębokich jego

uwag i długo wysmażanych figlów. Nie było dnia prawie, żeby o dziesięciu myśląc, choć jednego nie spłatał, a w najgorętsze dnie, kiedy wszyscy w koło, nawet Lazaroni nadzy i ubodzy, przestawali wyciągać wychudłe ręce do przychodniów o paola prosząc — on często nie spał, rysował, lub czatował na co. W ciągłym był ruchu dzień i noc, a z wzrastaniem jego życia, ta potrzeba działania nieustannie zwiększać się zdawała, rysowanie jego na wzorach wykształcone, znośném się stało, on zaś sam tak dalece naprzykrzył się wszystkim sąsiadom, że matka, którą wiek rozumniejszą uczynił, lękać się zaczynała, aby go kto zabić nie kazał, tak jak psa, który w nocy pod oknem szczekając spać przeszkadza. We Włoszech zabijają i modlą się jednego dnia, jednéj godziny, jednéj chwili, sztylety mają kształt krzyżów, a religija utarta i zmieszana z zazdrośnym, leniwym, bojaźliwym charakterem narodu, wydaje mięszaninę trudną do pojęcia. Beppo zaczął się uczyć rysować, a matka jego porzuciwszy, to jest: porzucona i od dwóch ostatnich kochanków, żyła z nim z zebranych ostatków jak mogła.

Feliciani bronznik biegły w swéj sztuce, który się trudnił wylewaniem posążków, krzy-

żyków, starożytności, numizmatów, medalów i innych tym podobnych rzeczy, był starym przyjacielem ojca Beppa. Feliciani był Włochem po same uszy, powolny, ospały, leniwy, brudny, zły, nieszczery i fałszywy. — Żonę miał Marią krzykliwą i dziwaczną kobiétę, niegdyś bardzo ładną, z któréj urodziła mu się córka Lorenza, ładna, żywa, trzpiotowata, mało myśląca, lecz ruchawa, o którą się wielu chłopców ubiegało.

Feliciani upatrzył w Beppie niepospolite zdatności, uważał, że jego rysunki prędko kréślone, często niepoprawne i nieczyste, miały jednak cechy talentu i życia; starał się więc nakłonić go, aby do niego przystał i obiecywał rozmaite nagrody, jeśliby się chciał do jego sztuki przykładać pod jego przewodnictwem. Matka namawiała Beppa, on uparty, marszczył się i nie chciał. Sama myśl wyznaczonych godzin pracy ciągłéj, nudy nieoddzielnéj prawie od jednostajnéj roboty, niewoli i przymusu — oddalała go od warsztatu Felicianiego na *Strada delli Pellegrini*. Próżno matka prosiła. Beppo wolał pół dnia latać po Rzymie bez celu, hukać w ruinach pustych przedmieść, zapuszczać się w ciemne przejścia wodociągów, łazić po obalonych wschodach amfiteatrów — niż siedzieć,

siedzieć i siedzieć nad warsztatem, wyrabiać formy i robić tylko to co kazano. Próżno matka okazywała mu w tém nadzieje, polepszenia nędznego ich bytu — Beppo dzieckiem jeszcze już był samolubem — śmiał się, kiedy mu mówiła o swoich korzyściach, pociesze — sam nie widział w tém pożytku, a o cudzym myśleć nie chciał. Jednakże czasem zaglądał do warsztatu Felicianiego, lubił widzieć rodzące się z brył niekształtnych metallu żyjące osoby, twarze, lubił rozprawiać ze starym bronznikiem i kłócić się ciągle mu sprzeciwiając, lub od niechcenia niby gnieść formy, które najwięcéj kosztowały czasu i pracy. Raz zobaczył Lorenzę — Spójrzeli na siebie dwoje razem, zobaczyli w sobie ten sam ogień, tę samą żywość, i pomyśleli oboje, że bardzo by się z sobą zgodzili. Beppo częściéj wracał do Felicianiego i ciągle znowu sprzeczał się i kłócił żartując z jego córką. Stary bronznik patrzał na to i pozwalał im zaznajamiać się z sobą, bo sądził nie zbyt bezzasadnie, że czarne oczy Lorenzy, przyciągną Beppa do warsztatu. Przeciwnie matka, kwaśna zawsze, jak gdyby ubolewała nad niknącą pięknością swoją, łajała Beppa, zakazała córce z nim gadać i myśléć o nim. Powolność ojca, mniéj daleko przyłożyła się

do zwabienia Beppa, jak zakazy matki, lubił robić na złość, i im więcéj ona krzyczała, tém on częściéj przychodził, tém dłużéj siedział i bardziéj ją niecierpliwił. Lorenza byle mogła uśmiać się z nim i potrzpiotać, mało uważała na matkę. Jéj gniew droższe czynił chwile zabawy. Uderzyło także Beppa, że stary bronznik, nigdy już go nie zachęcał, do uczenia się jego sztuki, obrażony tém, zaczął niby pracować czasami, wyciskał formy od niechcenia, tłukł je, śmiał się i uciekał, chciał aby przekonawszy się o talencie, Feliciani znowu go namawiał, ażeby mu mógł powtórnie odmówić. Lecz Włoch stary poznawszy jego charakter, milczał i udawał, że nie widział tego co on robił, lub zmuszony do zobaczenia, pogardliwie trząsł głową.

Gniewało to Beppa, który przy swoim żywym charakterze, czuł w sobie jakieś przecie doskonałości i widział, pojmował, że trzeba go było chwalić. Z głową pełną marzeń, które się w niéj snuły, nawet pośród zatrudnień i wypadków pospolitego życia, choć fałszywie, niedokładnie, myślał jednak o wielu rzeczach. Każdy widok, a Rzym ma ich tyle, wzbudzał w nim uwagi, których sam dokończyć nie mogąc, czasem w śród rozmo-

wy najobojętniejszéj, rzucał zapytania dziwne, wyższe, które zbywano odpowiedziami oklepanémi, od stu lat przyjętémi.

Zwaliska — obszerność miasta, jego wyludnienie, pamiątki władzy i wielkości Rzymu, o które się ocierał, które deptał nogą, rysując się potém w jego umyśle, same sobą zadawały pytanie, — Gdzie ta wielkość? Czemu znikła?

Grobowce i sławne imiona, pytały go i dręczyły myślami sięgającemi za groby, amfiteatry na kilkadziesiąt tysięcy osób, cyrki trawą zarosłe, stawały w jego myśli z widzami, z ruchem, życiem swojém dawniejszém. Ileż to razy w młodym, dziecinnym prawie wieku, niezdolnym do wyższych pojęć, zaczyna się ta fermentacya wyobrażeń, któréj ostatni, trzeci stopień, dosięże się dopiéro w starości — ile razy myśl dziecinna czepia się po wierzchołku rzeczy wielkich, i starym używającym zdolności swych w pełni i schyłku niedostępnych — czepia się jak robak po piramidzie! Zastanawiając się nad wszystkiém, Beppo często zwracał odbitą uwagę na siebie i zazdrościł wielkim, wielkości i sławy — nie byłże to pierwszy krok do czynnego życia, do śmiałych zamiarów?

Fałszywie by jednak sądził, ktoby myślał,

że te rzeczy zajmowały ciągle dziecię — wśród rysunku, biegania, swawoli, w warsztacie Felicianiego, w zabawach z chłopcami, jak mgły snuły się one pomięszane, poplecione z myślami o dziecinnych igraszkach.

Wkrótce jeden z jego rysunków, wpadł w ręce Kardynała Tremolari, który wyszukał młodego rysownika, dość mu dobrze, za niego zapłacił i zachęcił do dalszéj pracy.— Z pieniędzmi, które brał za rysunki, nowe życie zaczęło się dla Beppa — rzucił się we wszystko co mu się zdawało łakomém i roskoszném. W dzień pracował usilnie, ale bez myśli, aby coś zarobić, wieczory i roskoszne nocy włoskie, przepędzał na rospustnych zabawach, przy winie, kobiétach, za stołami gry, wśród steku pospólstwa. Gdzie tylko był cień uciechy dostępnéj dla niego, gdzie były kobiéty, śmiechy, wino i kości, Beppo był także niezawodnie. Matka gniewała się, nie wiedząc zkąd brał pieniądze, Beppo śmiał się i robił swoje. — Lecz widząc, że ciągle rysuje, a rysunki te nikną, domyśliła się nareszcie, zkąd je bierze. — Ucieszyła ją myśl o postępach syna, zasmuciło to, że i grosza nigdy jéj nie dał, widząc ją w kłopotach i niedostatku, i widok końca zwykłego rospusty — chorób i śmierci. Prze-

kładała mu ze łzami swoje żale, prosiła go, aby się poprawił. Lecz obcowanie z ludźmi zepsutémi, złemi lub głupiémi, zrobiło niezmazany rys na jego charakterze. Oswoił się z drobnemi występkami, prowadzącemi do większych, wyobrażał sobie, że jest zdolnościami wyższy od większéj części ludzi — a ztąd poszły — obojętność na środki, byle dopiąć celu i zarozumiałość. — Przyłączyła się do tego chęć sławy, która z zarozumiałości wyniknąć musiała — a po żądzy roskoszy, stała się w nim najsilniejszą. Zmięszany z tłumem, czując się wyższym od niego, myślał i roił sposoby odznaczenia się. Głowa jego napełniła się zarysami najrozmaitszych zamiarów i myśli, a że nawet wśród pospolitych zatrudnień, nie opuszczał jego głowy ten najazd wyobrażeń, stało się, że myślał o wielu rzeczach w młodości, o których inni poźniéj i to tylko w dni świąteczne próżnując myślą.

Życie Beppa wydawało mu się roskoszném, i było niém w istocie, brakło mu tylko téj sławy nęcącéj go z daleka, o któréj myśląc, truł sobie najweselsze chwile. Lecz powolny i niezdecydowany, wahał się z obraniem drogi do niéj i szedł tym czasem na los ślepo. Dziwował się po sobie nie raz, kiedy

przepełniony wszystkiemi zwierzęcemi roskoszami, czuł brak czegoś jeszcze — nie będąc wcale psychologiem, tłómaczył sobie tę czczość i niesmak, swoją chimerą sławy, dla któréj jednak urojonych roskoszy, niechciał rzeczywistych porzucać.

Taki był stan duszy Cagliostra, który potém miał obiedz całą Europę z najdziwniejszą misią oszukaństwa i rospusty, w charakterze czarnoxiężnika i cudotwórcy, w którego ośmnasty wiek filozofii i niedowiarstwa, śmiejąc się wierzył do połowy. Empiryk, nekroman, astrolog, alchemik, Hrabia Cagliostro, Hrabia Harat, Hrabia Fenix, Margrabia d'Anna, Baltimore, Cadgilesker, ożeniwszy się z Lorenzą 1769 roku w Kościele *San Salvator in Campo*, po siedmiomiesięcznym pobycie w Rzymie, wędrował do Wenecyi, Genui, Aix, Barcelony, Madritu, Lizbony, Londynu, Cantorberi, Paryża, Rossii, Polski, Azii, Arabii Turcii — i powrócił do Rzymu 1790 roku, w którym pochwycony i osądzony, umarł w *Castel Sant Angelo*.

Nie powiem wam, jak wyglądał, zobaczcie portrét jego przez naszego Chodowieckiego rytowany, jedno z najlepszych dzieł jego. Słyszałem w Rzymie opowiadanie o jego sławnéj uczcie ludzi wielkich, za którą wzięty, przypłacił życiem.

Z Rzymu wybrałem się do Sztockolmu, a niemogąc dostać przewodnika, kupiłem sobie — *Wägwisare til och ifrän alla Städer och Namn Kunnige Orter uti Swea och Göta Riken* — który wprawdzie miał mi w Szwecij tylko służyć, ale resztę drogi spodziewałem się odbyć, spuszczając się na przeczucie mojego konia, któremu powiedziałem dokąd chce jechać.

Dobrze było, pókiśmy lądem jechali, ale jak przyszło nad morze, koń stanął i ja z nim— Co tu robić? — Idź wpław — powiedziałem do konia. Woda bardzo słona— odpowiedział mi trzęsąc uszami — czekajmy na okręt.

Usłuchawszy jego rady, czekałem dwa lata nad brzegiem, nie zsiadając, żeby być zawsze gotowym, trzeciego dopiéro, zabrała nas fregata szwedzka nazywająca się—*Śledź* i przywiozła do Szwecij.

— Do stołu dali — zupa stygnie —

— Zaraz idę.

Pojechałbym do Sztockolmu, ale sami powiedzcie, czy godzi się dać ostygnąć obiadowi? — Muszę więc podróż na drugi raz odłożyć.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

I. *Wyjazd w drogę* . . . . . 1.
II. *Popas w Utrechcie. Anna Marja Schurman— Biografja* . . . . . 3.
III. *Książ Baka S. J.* . . . . . 33.
IV. *Przechadzka po Bibliotece.* Goniec cnoty. 1574. Vita S. Stanislai. 1511. Index Libror. prohibitor. 1764. Marcin Polak. O Tabace. 1650. Paralelle Warszewickiego i August wzbudzony Grochowskiego. — Pisma żartobliwe XVII wieku. — Dawne Komedje. Trudności tłumaczenia Shakespeara . 48.
V. *Pielgrzymka po stolicach.* Wyjazd. Paryż. Charaktery mieszkańców. Literat i Księgarz. Konstantynopol. Renegat. Madryt. Teatr Hiszpański. Berlin. Hoffman. Monografja głupstwa. Świat i Ludzie. Kwiat Paproci. Rzym. Młodość Cagliostra. Wyjazd do Sztokolmu. . . . . 97.

Deacidified using the Bookkeeper process.
Neutralizing agent: Magnesium Oxide
Treatment Date: March 2007

PreservationTechnologies
A WORLD LEADER IN PAPER PRESERVATION
111 Thomson Park Drive
Cranberry Township, PA 16066
(724) 779-2111

APR 1953